

KRAINA DWUNASTU KSIĘŻYCÓW

Księga bajek dla

Zosi





Te bajki zostały napisane specjalnie dla Zosi

Spis treści

1	Gwiazdny klucz	~6 min	4
2	Smok, który bał się ciemności	~6 min	12
3	Pierwszy dzień w Leśnej Szkole	~6 min	19
4	Tajemnica podwodnego królestwa	~7 min	27
5	Kosmiczny piknik	~7 min	36
6	Czarodziejskie słowa	~6 min	44
7	Zgubiony uśmiech	~6 min	51
8	Urodziny na opak	~6 min	58
9	Wielki wyścig ślimaków	~6 min	66
10	Strażniczka zimowego lasu	~6 min	73
11	Miasto, w którym chowają się sny	~5 min	81
12	Wielka podróż do domu	~6 min	88

Gwiezdny klucz



Wieczór był zupełnie zwyczajny.

W ciemności szafa urosła, a okno zrobiło się głębsze. *Zosia* wsunęła się pod kołdrę, włożyła rękę pod poduszkę — i zamarła. Leżało tam coś ciepłego.

Kluczyk! Malutki, złoty, ciepły jak promyk słońca na parapecie. I nucił — cichutko: „Mmm...” Jak czajnik, który zaraz zacznie śpiewać.

A potem kluczyk pociągnął rękę w stronę ściany — lekko, tak jak kotek ciągnie za rękaw: chodź, coś ci pokażę.

Na tapecie sama z siebie pojawiła się złota linia.

Pobiegła w górę, skręciła w rogu, zbiegła w dół — i zrobiły się drzwiczki. Małe jak książka, z klamką w kształcie księżyca.

Zosia zapukała: puk, puk, puk.

Drzwiczki skrzypnęły i się otworzyły. Były małe, a *Zosia* — duża. Ale jakoś tak wyszło, że pasowały do niej jak ulał.

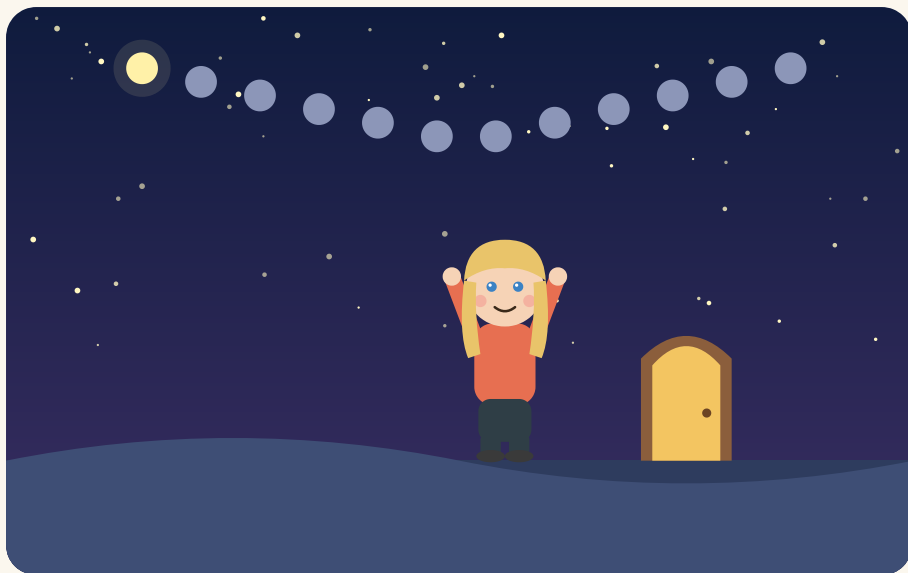
Z łóżka wszystkiemu przygląda się Filemon — jednym okiem, jak prawdziwy stróż.

Za drzwiczkami stała noc — nie czarna, tylko granatowa jak jagodowy kisiel. Pachniało ciepłą trawą i miodem.

W dole, w dolinie, dzwoniła rzeka, a w niej płynęły gwiazdy — powoli, jak kluseczki w rosole. A na niebie wisiały księżycy. Dwanaście! Stały w kole jak cyfry na zegarze bez wskazówek. Wszystkie blade, jakby narysowane mlekiem. Tylko jeden troszkę mrugał.

Zosia jeszcze nie wiedziała, że to pierwsza strona wielkiej-przewielkiej księgi.

Pod księżycami stał słup z drogowskazami. Na najwyższej strzałce siedziała sowa.



Siedziała — i chrapała: „Hu-u... hu-u...”

Budzić czy nie budzić? *Zosia* postanowiła: budzić, ale grzecznie — i lekko zapukała w słup.

— Uhu! — Sowa otworzyła oczy, okrągłe jak spodeczki. — Wcale nie spałam! Ja... pilnowałam od środka. Jestem sowa Luna, strażniczka księżyców. Widzisz, jakie są blade? Księżyc się zapala, kiedy ktoś dojdzie do końca swojej przygody. A gości dawno nie było. Pójdziesz?

— Nie wiem, czy jestem odważna — powiedziała szczerze *Zosia*. — Boję się.

— Uhu. Tak ma być. Odwaga to strach plus krok.

Strachu było już pod dostatkiem. Wystarczyło dodać krok.

— Spróbuję.

I mrugający księżyc — mig! — zrobił się odrobinę jaśniejszy.

Przez gwiazdną rzekę prowadził most — ze sznurków i deseczek, lekki jak huśtawka. Sowa Luna przefrunęła na drugi brzeg, żeby tam czekać.

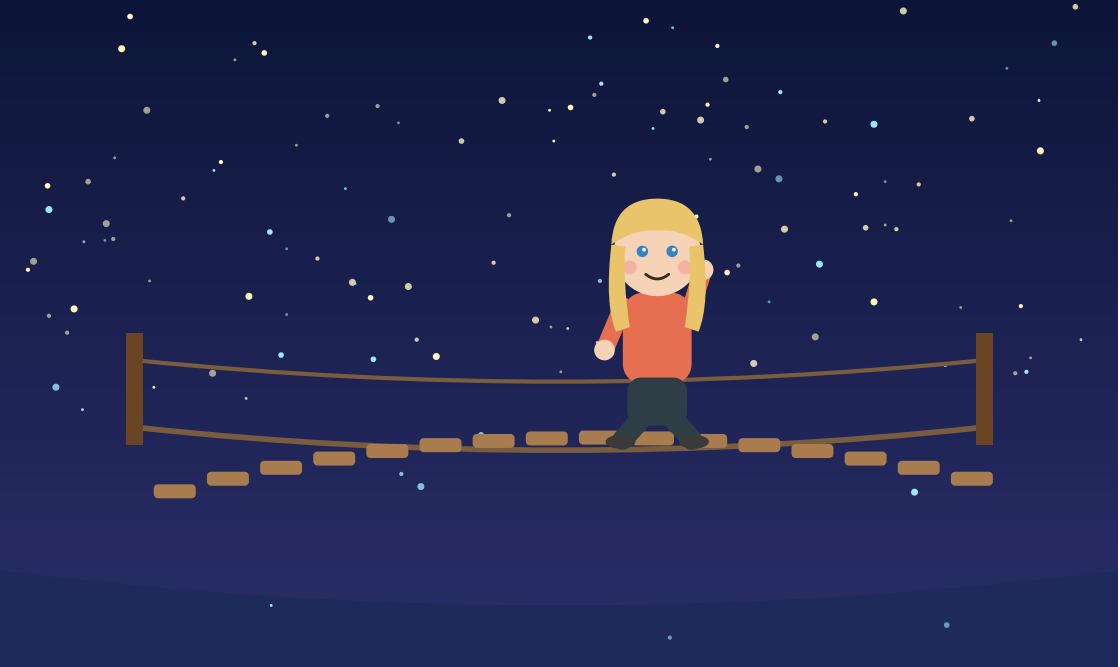
Zosia postawiła stopę na pierwszej deseczce. Most skrzypnął — jakby pytał: „No i co?”

— Raz, dwa, trzy — idę — szepnęła *Zosia*.

Krok. Jeszcze krok. W dół patrzeć było strasznie, więc *Zosia* zaczęła patrzeć na gwiazdy w rzece. Jedna gwiazda mrugnęła. Druga chyba pomachała promyczkiem. Trzecia puszczała bańki.

Na samym środku zawiał wiatr i most się zakołysał — uuuch! — w jedną stronę, potem w drugą.

Zosia stanęła. Kolana drżały. Kluczyk w kieszeni piżamy nucił głośno, głośniutko — jakby też się denerwował. Można było wrócić: drzwiczki są tuż-tuż. Ale *Zosia* nie zawróciła.



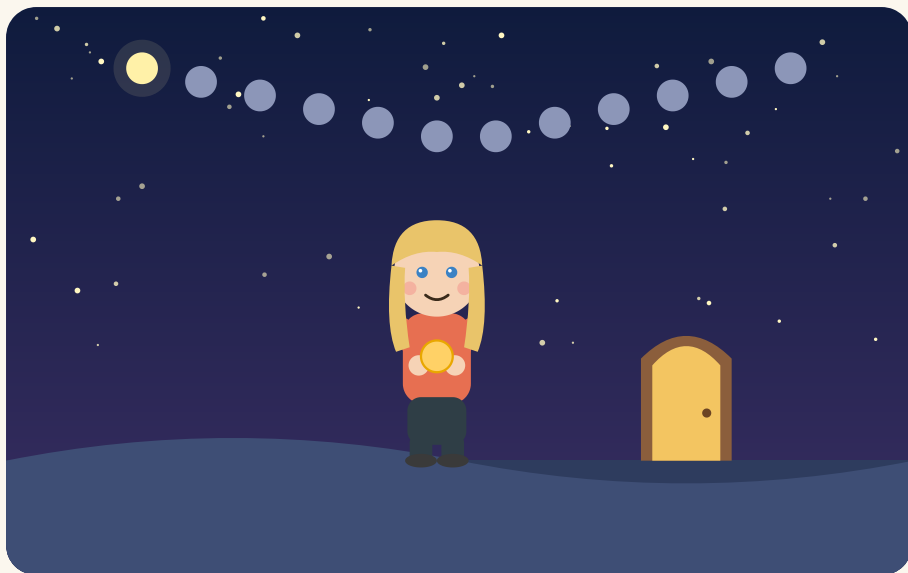
I nabrała powietrza, głęboko, głęboko.

— Raz. Dwa. Trzy — idę.

I zrobiła krok. A potem jeszcze jeden. I jeszcze. I już pod stopami miękka trawa drugiego brzegu.

Zosia obejrzała się — i aż zaniemówiła. Każda deseczka, na którą nastąpiła, teraz świeciła. Przez całą rzekę ciągnęła się złota ścieżka — z jej własnych kroków. A najjaśniej świeciło najstraszniejsze miejsce, na środku.

Gwiazdy w rzece zadzwoniły, jakby klaskały w dłonie. I wtedy na niebie cieniutko zadźwięczało: „Dzyń!”



Mrugający księżyc nabrał światła i rozjaśnił się — okrążył, ciepły jak lampa w oknie.

— Świeci! — Sowa Luna zatrzepotała skrzydłami.

— Świeci pierwszy księżyc!

Sowa Luna dała *Zosi* mapę złożoną na czworo. Na mapie było dwanaście kółeczek. Jedno z nich świeciło jak okruszek księżyca.

— Reszta poczeka. Księżyce nie uciekają. Ściśniesz mocno klucz — i drzwiczki się otworzą. A z powrotem zawsze jest szybciej: zamknij oczy.

Zosia zamknęła oczy — i policzkiem poczuła swoją poduszkę.



Kluczyk leżał pod nią, ciepły. W nogach posapuje Filemon, jakby nikt nigdzie nie wychodził.

Było sennie i dumnie naraz. Te dwa uczucia wcale sobie nie przeszkadzały.

A kluczyk cichutko nucił: „Mmm...” To znaczyło: do jutra.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Odwaga to krok zrobiony mimo strachu.

PYTANIE NA DOBRANOC

A kiedy ty się bałaś, ale i tak zrobiłaś swój
kroczek?



Smok, który bał się ciemności



Tej nocy *Zosia* nie mogła zasnąć. Gdzieś w kuchni tykał zegar.

A na ścianie mieszkały cienie. Wielkie. Jeden — kudłaty olbrzym z okrągłą głową. Drugi — długa ręka z rozczapierzonymi palcami. Trzeci — garbata góra. Cienie się nie ruszały. Ale *Zosi* ciągle się wydawało, że zaraz drgną.

Naciągnęła kołdrę aż pod nos.

Klucz pod poduszką zrobił się ciepły i zanucił: „Mmm...” Jakby też nie spał.

A potem ktoś pod łóżkiem powiedział: „Hyk!”

Spod brzegu kołdry wyskoczyła iskierka — malutka jak łebek zapałki — i zgasła.

Zosia zamartała. Można było schować się pod kołdrę z głową. Ale zamiast tego wychyliła się z łóżka i zajrzała pod spód.

Tam, obok zgubionej skarpetki, siedział smok wielkości kotka. Trząśł się tak, że łuski dzwoniły jak łyżeczki w szklance.

— Wcale się nie boję! — pisnął. — No... troszeczkę. Hyk!

Smok miał na imię Iskierka. Przyszedł przez drzwiczki, z Krainy Dwunastu Księżyców.

— Po całej Krainie się rozniosło, że klucz od drzwiczek jest teraz u ciebie! — zaterkotał. — Ojjoj, myślałem: kto ma klucz, ten się w swoim pokoju nie boi. A u ciebie tu — olbrzym!

Wskazał łapką ścianę i wsunął się *Zosi* do rękawa piżamy.

Wyszło na to, że to *Zosia* jest tu odważna. Tego się nikt nie spodziewał. I wcale nie zrobiło się od tego mniej strasznie.

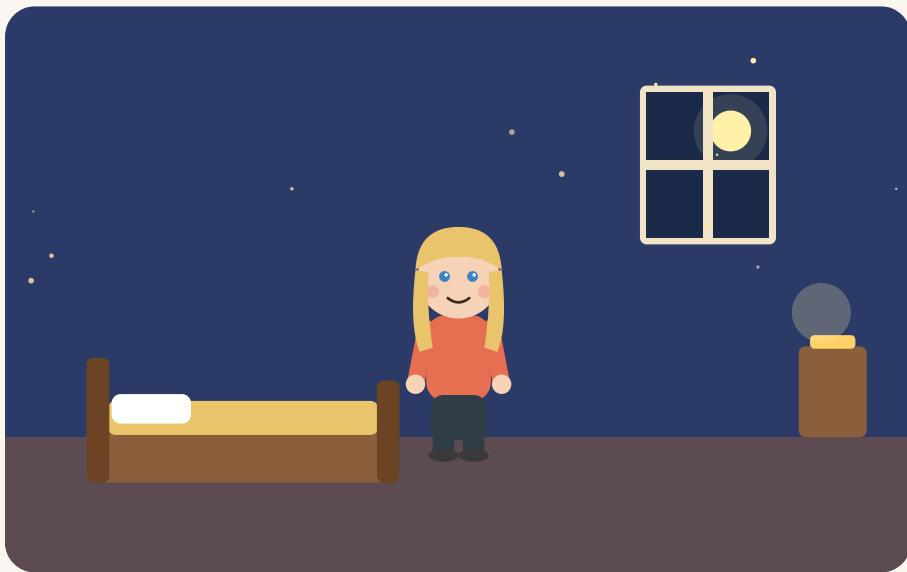
Zosia wzięła Iskierka na dłoń.

Był ciepły jak piecyk i lekki jak rękawiczka.
Filemon podchodzi, obwąchuje gościa i prycha: no
dobrze, swój.

Prawdę mówiąc, *Zosi* też było strasznie. Ale teraz
obok był ktoś mniejszy. Iskierek patrzył z dołu do
góry — tak się patrzy na kogoś dużego i odważnego.
I *Zosia* powiedziała to, co sama bardzo chciała
usłyszeć:

— Chodźmy zobaczyć z bliska. Będę obok.

Iskierek kiwnął głową. Z przejęcia czknał i iskierka
na chwilę ich oświeciła.



Podłoga była chłodna, deski cicho skrzypiały.

Zosia szła na palcach, a Iskierek siedział na dłoni i czekał co drugi krok. Olbrzym na ścianie robił się coraz większy, a kroki — coraz mniejsze.

„Hyk!” — i błysnęła iskierka. Zrobiło się jasno jak od latarki.

Kto tam? — To tylko... kurtka!

Wisiała na haczyku, a kaptur sterczał jak kudłata głowa.

— Dobry wieczór, panie Wieszakowski — powiedziała grzecznie *Zosia*.

Iskierek tak się roześmiał, że czknął trzy razy z rzędu.

Dalej — długa ręka. „Hyk!”

Kto tam? — To tylko... gałąź! Za oknem kołysała się gałąź i machała liśćmi, jakby się witała.

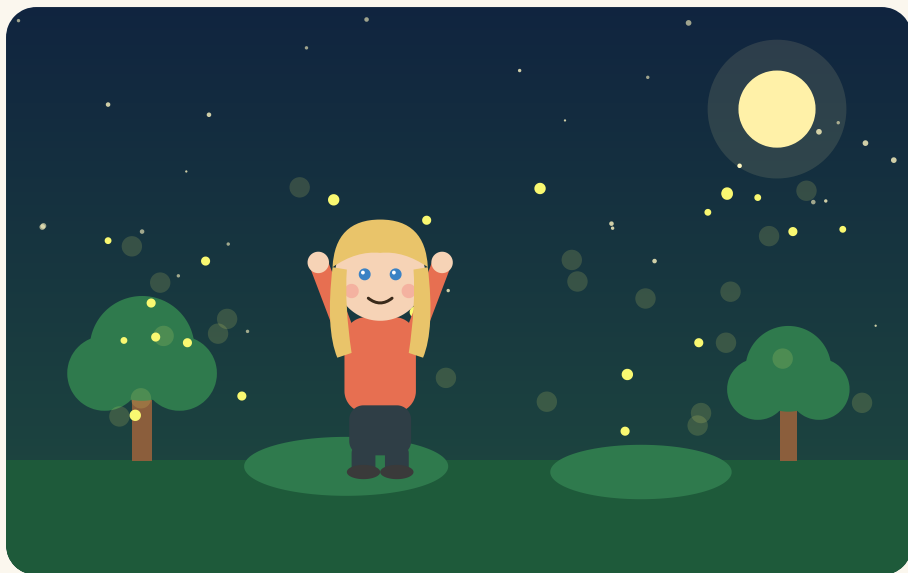
Potem — góra. „Hyk!”

Kto tam? — To tylko... krzesło! A na krześle koc, którego fałdy leżały jak zbocza.

— Kocowa Góra! — Iskierek wdrapał się na szczyt i ogłosił, że jest smokiem górskim, wielkim i strasznie odważnym.

Okazało się, że czkawka to najlepsza latarka na świecie. Zwłaszcza czkawka ze śmiechu.

Podeszli do okna i przycisnęli nosy do szyby.



Szyba była zimna, a nos Iskierka — gorący, i na szybie została mała zamglona plamka.

A ogród był pełen życia. Świetliki mrugały w trawie, jakby ktoś rozsypał okruszki światła. Ścieżką tupał jeź. Gdzieś pohukiwała sowa. A nad drzewami wisiał cienki sierp księżyca i się uśmiechał.

Iskierek patrzył szeroko otwartymi oczami i nawet zapomniał czkać.

— Ojoj — szepnął. — Ilu ich tam jest!

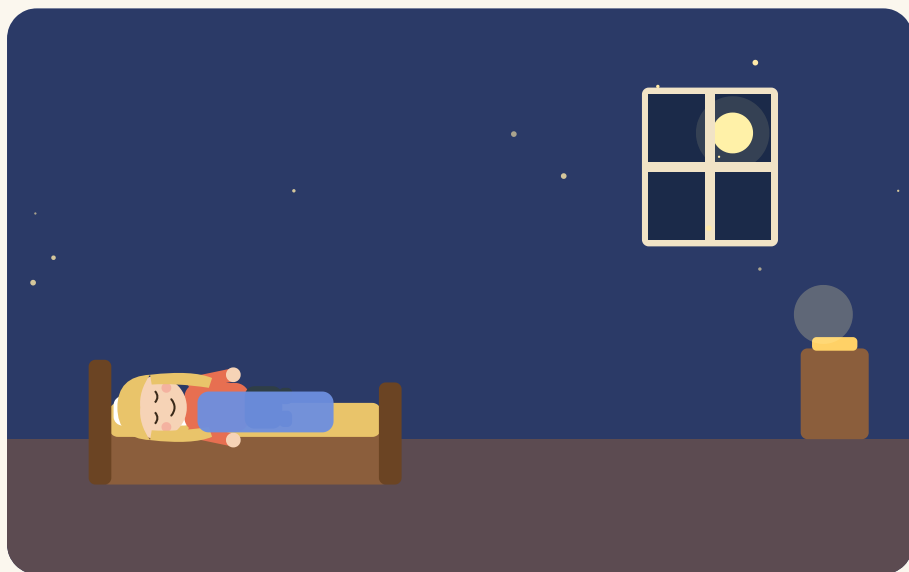
— Ciemność wcale nie jest pusta — zdziwił się Iskierek. — A olbrzym? A góra?

— Są. Pan Wieszakowski i Kocowa Góra.

Tylko że teraz są swoi — powiedziała *Zosia*. I dodała: — Ciemność to po prostu noc, w której zgaszono światło.

Ten sekret *Zosia* zapamiętała na wszystkie noce naraz: jeśli strasznie, podejdź bliżej i daj cieniowi śmieszne imię.

Iskierek ziewnął, zszedł na dywanik i zwinął się w kłębek, ogonem do nosa. Ostatnia isierka nie zgasła. Świecił równo i cicho, jak lampka nocna, której nikt nie włączał.



Zosia odwróciła poduszkę chłodną stroną i patrzyła na Iskierka, aż oczy same się zamknęły.

Za oknem cicho brzęknęło — dzyń — jakby ktoś odłożył łyżeczkę na spodek. To zapalił się drugi księżyc, miękki jak lampka nocna. Na mapie sowy Luny przybyło jeszcze jedno jasne kółeczko.

Rano na dywaniku znajdzie się łuska, ciepła i podobna do listka. Trafi na półeczkę na parapecie. Ale to będzie rano.

A na razie cienie na ścianie były po prostu cieniami. A noc — po prostu nocą.



Koniec

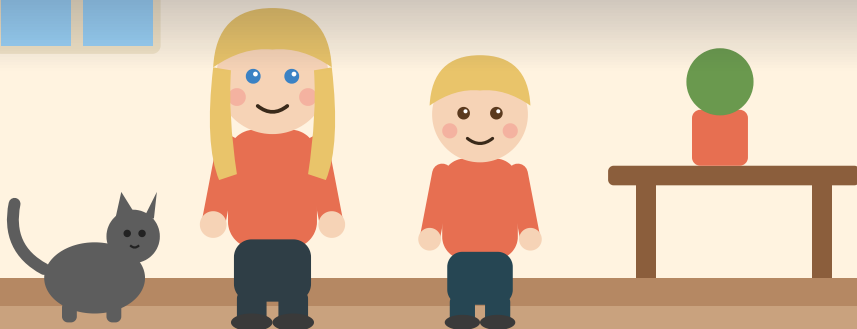
MYŚL NA DOBRANOC

Kto pociesza innych, sam boi się mniej.

PYTANIE NA DOBRANOC

A czy ty kiedyś pocieszałaś kogoś, kto bał się bardziej niż ty?

Pierwszy dzień w Leśnej Szkole



Wieczorem, kiedy *Zosia* już leżała w łóżku, za oknem cicho brzęknęło: bim-bim. Na parapecie, na cieniutkiej niteczce, kołysał się żołądz. Gładki, w czapeczce, a w środku — malutki dzwoneczek.

Do niteczki był przywiązany liścik. Litery krzywe, jakby pisane łapą: „Zapraszamy do Leśnej Szkoły. Pierwszy dzień — dzisiaj. Nauczycielka Borsukowa”.

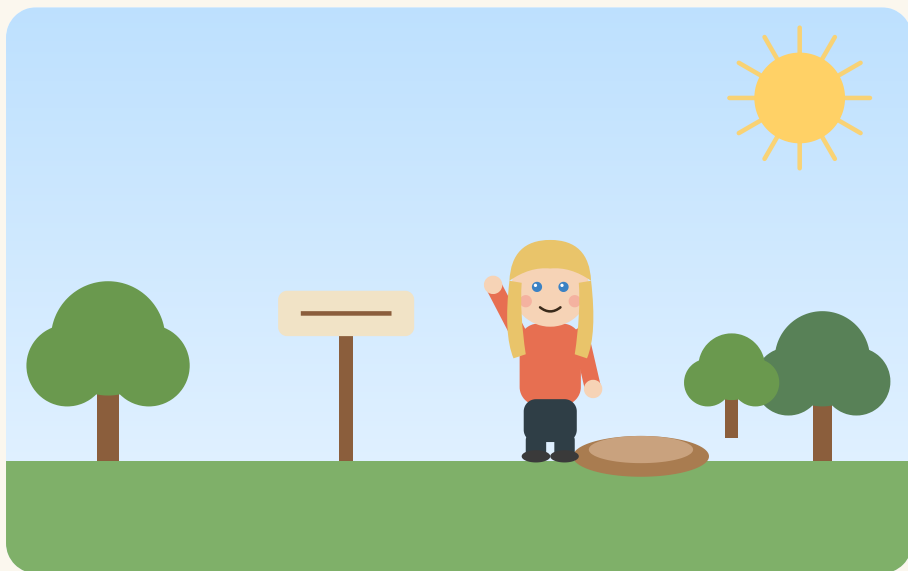
— Dzisiaj? — zdziwiła się *Zosia*. — Przecież już noc.

A klucz pod poduszką nucił: „Mmm...” — jakby mówił: tam, dokąd cię wołają, jest właśnie ranek.

Zosia usiadła na łóżku. W brzuchu zrobiło się łaskotliwie i zimno, jak od lodów. Nawet palce u stóp się podkurczyły.

„A jak nikt nie będzie chciał się ze mną bawić? — pomyślała *Zosia*. — Przecież ja tam nikogo nie znam”.

Ale żołądz dzwonił tak wesoło, że nie dało się usiedzieć. Klucz w garści był ciepły i nucił, jakby namawiał: chodź, chodź. Żłota linia na tapecie, drzwiczki, puk, puk, puk — i za drzwiczkami zaszeleściły liście.



Szeleszczący Las pachniał grzybami i poranną rosą.

Brama Leśnej Szkoły — dwie brzozy — pochyłała się, jakby brzozy coś sobie szeptały. Między nimi wisiał cały rząd żołędzi-dzwoneczków. I jeden haczyk był pusty. *Zosia* spojrzała na żołędź w ręce i wszystko zrozumiała.

Przy bramie tłoczyły się zwierzątka z tornistrami z liści i każde witało się po swojemu. Jeżyk — „Fyrr!”. Dzieciół — „Stuk-stuk!”. Zajączki — uszami. Wiewiórka — ogonem, tak puchato, że wszyscy kichnęli.

Cześć! — I tobie cześć!

A oto i Kuba! *Zosia* i Kuba trzymają się za ręce: we dwoje pierwszy dzień nie jest taki ogromny.

A przy samej brzozie stał lisiek. Sam. Rudy jak jesienny liść, z nosem schowanym w ogon — tylko oczy błyszcząły.

„On też się boi — zrozumiała *Zosia*. — Może nawet bardziej niż ja”.

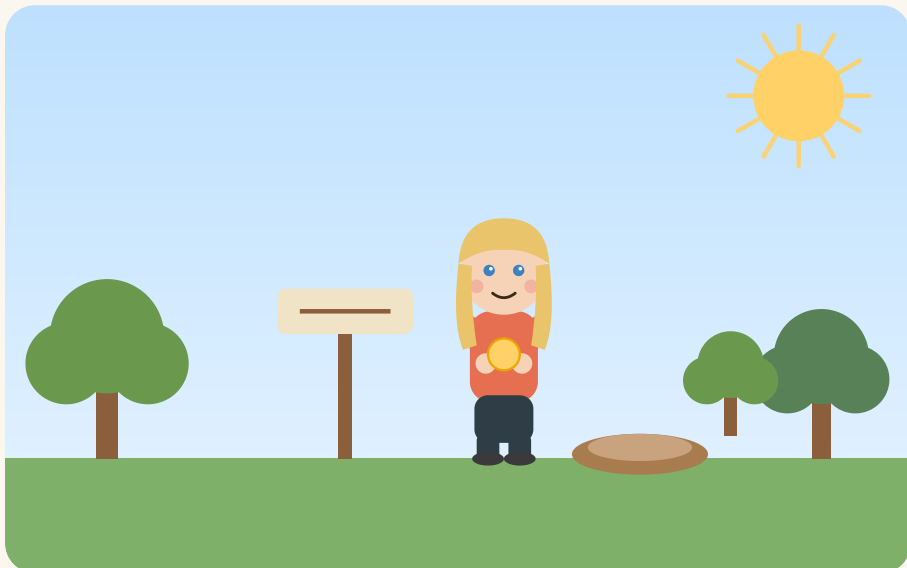
Podejść pierwsza — to tak jak wejść na chybotliwy most. Ale na takie kroki *Zosia* miała swoją wyliczankę.

— Raz, dwa, trzy — cześć!

Uszy liska się podniosły, ogon zsunął się z nosa.

— Cześć... — szepnął. — Jestem Rudek. A mogę... z tobą?

— Pewnie, że możesz!



Bim-bam! — zadzwoniły dzwoneczki na bramie. Zza dębu wyszła nauczycielka, pani Borsukowa. Okulary siedziały jej na samym czubku nosa, a w łapach szeleściła kartka z listą. Futro miała w paski, jak piżama.

— Dzień dobry, klaso — powiedziała. Wszyscy się wyprostowali. A głos jej troszkę drżał.

— Muszę wam się przyznać. — Pani Borsukowa zdjęła okulary i znów je włożyła.

— Ja też mam dzisiaj pierwszy dzień. Jestem nauczycielką... od dzisiejszego rana.

Przez sekundę wszyscy milczeli. A potem język powiedział: „Fyrr!” — i wszyscy się roześmiali. Nawet pani Borsukowa. Zrobiło się lekko, jakby ktoś zdjął wszystkim z pleców ciężkie tornistry.

— Pierwsze zadanie — pani Borsukowa zajrzała do kartki. — Zbudować wielkie gniazdo. Dla kogo — dowiemy się wieczorem.

Zajączki nosiły gałęzie. Dziecioł — patyczki. Rudek i *Zosia* zbierali mech — miękki jak aksamit i trochę wilgotny.

Gniazdo rośło i rośło — aż zrobiło się wyższe niż sama pani Borsukowa!

I wtedy gniazdo się zachwiało. Chrup... chrup... szszszuu! — i rozsypało się na wszystkie strony.

Zrobiło się cichutko. Rudek znowu schował nos w ogon. Pani Borsukowa złapała się za okulary. Wszyscy patrzyli na stertę i nie wiedzieli, płakać czy nie.

A *Zosia* spojrzała na stertę gałęzi — i parsknęła śmiechem.

Ze sterty sterczały zajęcze uszy, a na uszach wisiał mech jak zielona czapka.

I roześmiali się wszyscy. Najgłośniej — zajaczek w mchowej czapce.

Bzz-z! Nad polaną przeleciała pszczołka Zuzu w malutkich okularach. W łapkach niosła obrazek z Miodowej Biblioteki.

— Z-znakomite gniazdo! — zabrzczała. — Tylko do góry nogami. Duże gałęzie — na dół, małe — na górę. Wszystko zapisane!

Budowali znowu. Duże gałęzie — na dół. Małe — na górę. Mech — do środka, żeby było miękko. Rudek już nie szeptał, tylko dowodził: „Tutaj! Nie, tutaj!”

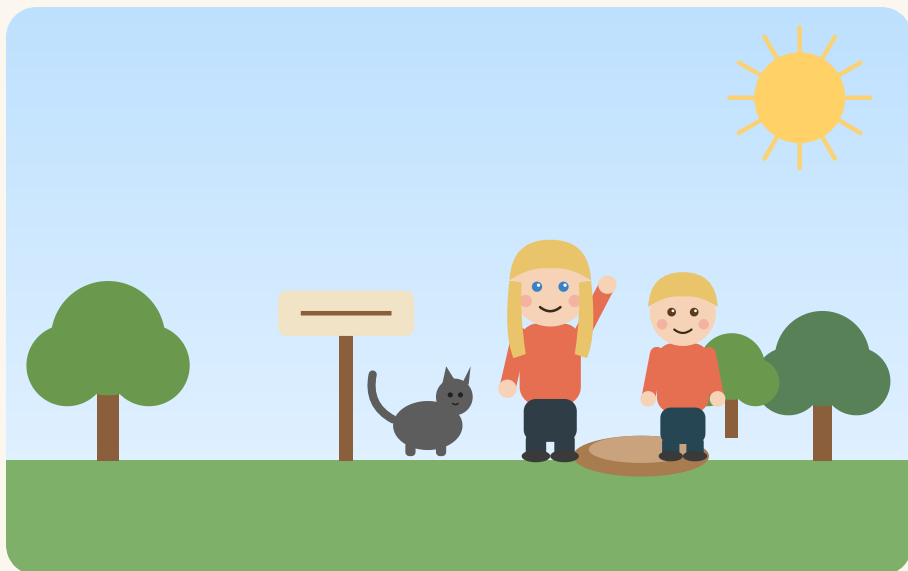
Gniazdo wyszło trochę krzywe, za to mocne. Pani Borsukowa zastukała w nie łapą — nawet nie skrzypnęło.

Wieczorem w gnieździe cichutko usiadły dwa prawdziwe ptaki i zaczął się. Klasa zbudowała komuś dom!

Cześć! — I tobie cześć!

Pani Borsukowa podała *Zosi* żołędź-dzwoneczek — ten sam, z pustego haczyka.

— Zatrzymaj go. Przecież to po ciebie przyleciał.



W domu żołądz trafił na półeczkę na parapecie i brzęknął: bim! A niebo odpowiedziało mu cieniutkim „dzyń”: zapalił się trzeci księżyc, jakby też cały dzień był w szkole. Na mapie sowy Luny przybyło jedno jasne kółeczko.

Zosia ziewnęła i zamknęła oczy. Jutro — znowu.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Nowe miejsce staje się twoje od
pierwszego „cześć”.

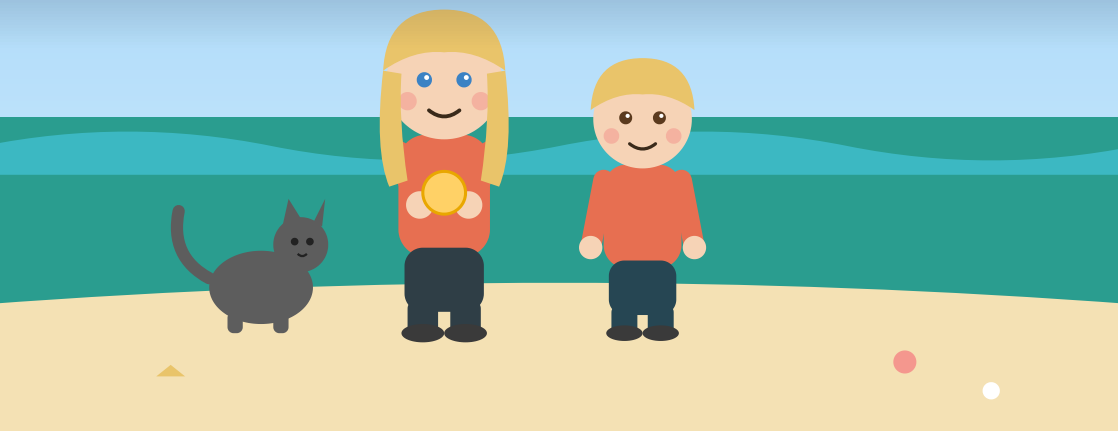
PYTANIE NA DOBRANOC

A pamiętasz, jak pierwszy raz przysłaś
tam, gdzie wszystko było nowe? Komu
powiedziałaś „cześć”?





Tajemnica podwodnego królestwa



Klucz pod poduszką zanucił, pociągnął rękę w stronę ściany — i za drzwiczkami był brzeg. Ciepły piasek, ciepły wiatr i morze, jasne jak herbata z mlekiem. To było Jasne Morze. Pachniało solą i nagrzanymi kamykami, a fale szeleściły jak kartki.

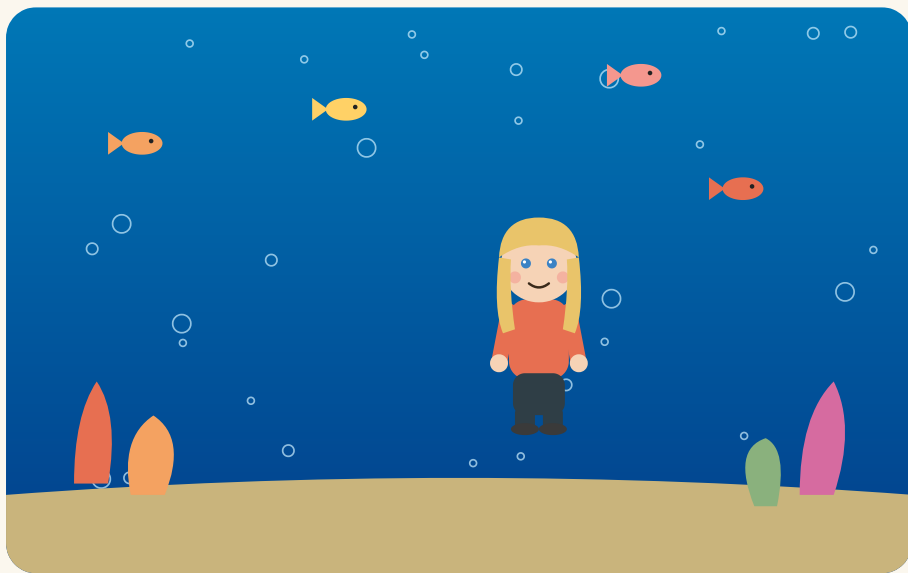
Przy samej wodzie na ręczniku układa się Filemon: ja popilnuję.

Fala przyturlała do stóp bańkę — wielką, błyszczącą jak mydlana. W środku leżały perła i liścik. Litery były okrągłe i powolne: „Pomocy! Śpiewająca Muszla milczy. Królowa Żółwica”.

Perła była ciepła jak orzeszek, który długo trzymało się w garści. *Zosia* ścisnęła ją — bul! — i dookoła wyrosła przezroczysta bańka. Nie pękała, nawet kiedy dotknęło się jej palcem: sprężysta jak piłka.

— Pod wodą da się oddychać — domyśliła się *Zosia* i weszła w fale.

Woda okazała się ciepła jak powietrze w letni wieczór. W dole kołysały się koralowce — różowe, żółte, puszyste jak kwitnące krzaki. Nad głową chwiało się słońce — zielone i drżące.



Tylko w królestwie było cicho.

Rybki wisiały w wodzie smutnymi stadkami i nikt nie tańczył. Nawet wodorosty opuściły liście jak uszy.

— Bul-bul, opowiedz! — poprosiła *Zosia*. — Co się stało?

— Muszla milczy, a bez piosenki nie można tańczyć!
— zabulgotały rybki jedna przez drugą. — To Otto!
Przy muszli była chmura atramentu! On wiecznie wszystko przewraca!

Królowa Żółwica ciężko westchnęła. Wszyscy już wszystko postanowili.

A *Zosia* postanowiła najpierw wysłuchać samego Otta. Jego przecież nikt nie zapytał.

Grota Otta była pełna zgubionych rzeczy. Leżały tam guzik, kluczyk nie wiadomo od czego, stara trąbka i łyżeczka do herbaty. Wszystko porządnie, na kamiennych półeczkach. W grocie było chłodno i pachniało mokrymi kamieniami.

A pośrodku siedział sam Otto — wielka, miękka, różowa ośmiornica. Na widok gościa skulił się:

— Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.
Przepraszam.

Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.
Przepraszam.

Zosia policzyła: osiem. Po jednym na każde ramię.

I bez słowa usiadła obok na ciepłym kamieniu.

Otto chwilę milczał. Potem ostrożnie, z bulgotaniem, zaczął:

— Bardzo chciałem tańczyć ze wszystkimi. Ale mam osiem ramion i ciągle mi się płaczą. Trąciłem muszlę. Zachwiała się... Przestraszyłem się i... zaczerwieniłem.

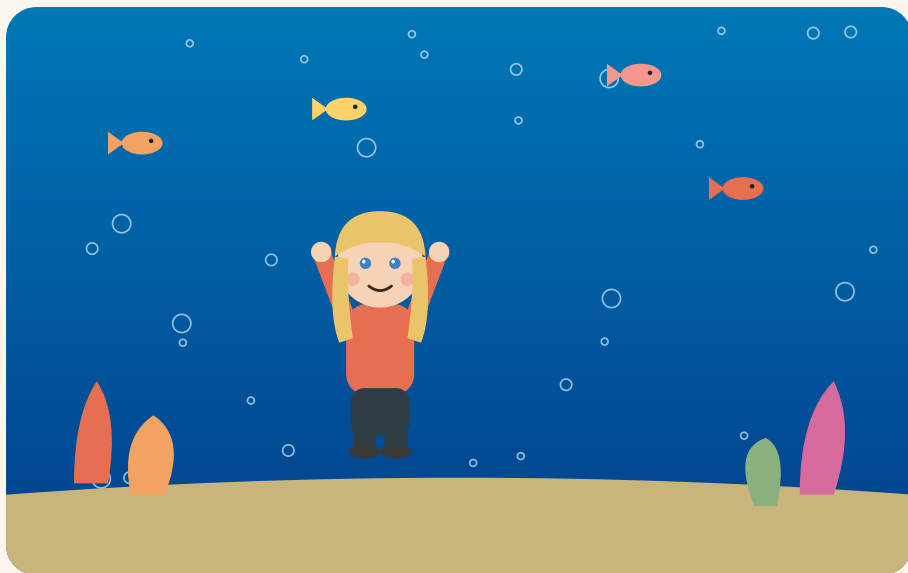
— Atramentem? — zapytała *Zosia*.

— Ośmiornice czerwienią się atramentem — westchnął Otto i w wodzie rozplynęła się chmurka w kształcie serduszka. — A rybki od razu zaczęły krzyczeć. Nikt mi nie dał wytłumaczyć.

Opuścił wszystkie osiem ramion, a one legły wokół niego jak płatki smutnego kwiatka.

Zosia zamyśliła się. Gdyby muszlę tylko trącić, brzęknęłaby — i śpiewała dalej, jak dzwonek. A ona milczy, jakby ktoś zamknął jej buzię.

— Otto, to nie od trącenia — powiedziała *Zosia*. — Coś jej przeszkadza. Chodź, zobaczmy.



— A jak znowu powiedzą, że to ja?

— Będę obok.

Otto długo patrzył na *Zosię*, potem na swoje ramiona, potem na wyjście z groty.

W końcu Otto westchnął i popłynął, starając się niczego nie potrącić.

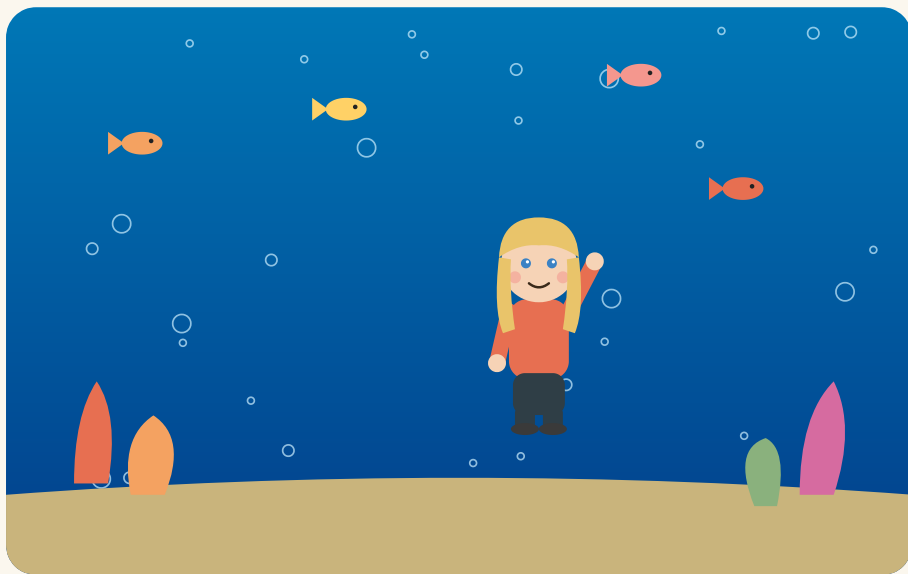
Śpiewająca Muszla leżała na piasku, ogromna, perłowa. A dookoła niej była owinięta stara sieć rybacka — cała w supełkach, jak kłębek po zabawie z kotkiem. Sieć była śliska i pachniała mułem.

— To ona zamknęła jej buzię! — wykrzyknęła *Zosia*.

Supełków było mnóstwo, a ręce tylko dwie. Za to Otto ma osiem ramion.

— Ty trzymaj tu, a ty — tam — dowodziła *Zosia*, pokazując Ottowi, którym ramieniem gdzie trzymać.

Kuba też tu jest i ciągnie supełki razem ze wszystkimi.



Supełek za supełkiem — i sieć zsunęła się na piasek.

Muszla głęboko westchnęła.

— Bul-bul, opowiedz! — szepnęła do niej *Zosia*. I muszla zaśpiewała. Poleciały z niej bąbelki-nutki, a woda zadzwoniła jak szklane dzwoneczki.

Królowa Żółwica podpłynęła bliżej, żeby lepiej słyszeć. A rybki podpłynęły zawstydzone.

— Przepraszamy, Otto! Przepraszamy... Przepraszamy...
— Było ich dokładnie osiem, po jednej rybce na każde ramię.

Otto tak się zaczerwienił, że wokół niego rozplynęła się cała chmura serduszek.

A potem Otto poprowadził taniec. Osiem ramion prowadziło osiem rybich korowodów i nikt ani razu się nie zaplątał. *Zosia* tańczyła w samym środku. Woda wirowała i dzwoniła, a w głowie też się kręciło — wesoło.

Królowa Żółwica powoli kiwnęła głową — to znaczyło „dobrze”.

Na pożegnanie Otto podał *Zosi* małą muszelkę ze swojej groty:

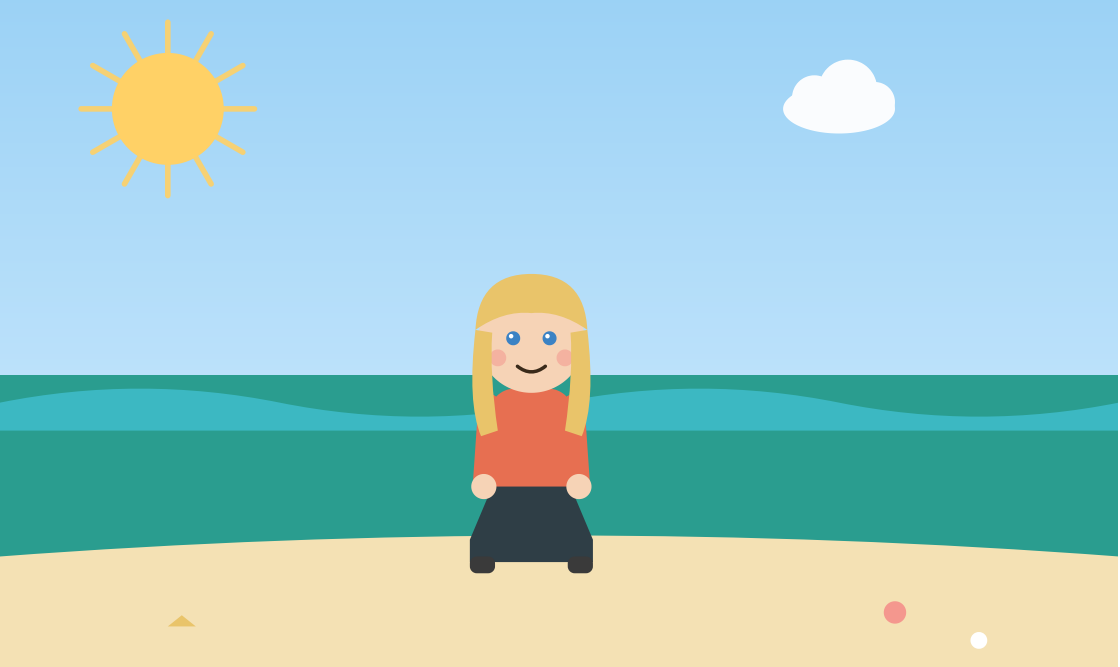
— Szumi, kiedy tęsknisz za przyjacielem.

— A sieć?

— Sieć wezmę sobie — powiedział Otto. — Do kolekcji. Zgubione rzeczy też się czasem przydają.

Na brzegu piasek był ciepły, a pięty mokre i obsypane ziarenkami. Muszelka w dłoni cichutko szumiała: szuuu. Już tęskniła.

Nad wodą czysto i cienko, jak kropla o szybę, zadźwięczało „dzyń”.



Zapalił się czwarty księżyc — okrągły jak perła.

Powrót okazał się szybszy niż szybki: *Zosia* zamknęła oczy i policzek znalazł poduszkę. Gdzieś w kuchni tykał zegar: w domu nie minęła nawet minuta.

Muszelka trafiła na półeczkę na parapecie. A jeśli się wsłuchać, nadal troszkę śpiewała.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Zanim zdecydujesz, kto zawinił —
wysłuchaj.

PYTANIE NA DOBRANOC

A ciebie kiedyś ktoś niesłusznie o coś
obwinił? Co wtedy pomogło?



Kosmiczny piknik



Pudło było ogromne: zmieściłby się w nim ktoś cały, a jeszcze zostałyby miejsce na kanapki.

I *Zosia* wymyśliła. Wycięła okrągłe okienko, narysowała flamastrem guziki i dźwignie, a zamiast kasku włożyła durszlak. Dziurki są po to, żeby słyszeć kosmos. Flamaster pachniał truskawką, a pudło — tekturą.

Na podwórku było jeszcze jasno, ale na niebie wisiał już księżyc — błądy, dzienny, jak guzik na błękitnej koszuli.

W kieszeni zrobiło się ciepło: to klucz. Zawsze robi się ciepły przed czymś niezwykłym.

Zosia wyjęła go i na próbę dotknęła nim pudła.

Pudło zanuciło: „Mmm...” — jak lodówka w nocy. Zakołysało się, jakby się przeciągało, i spod spodu posypały się żdźbła trawy. Narysowane guziki zaświeciły się po kolei.

Na schodkach siada Filemon i patrzy surowo: teraz to centrum kontroli lotów.

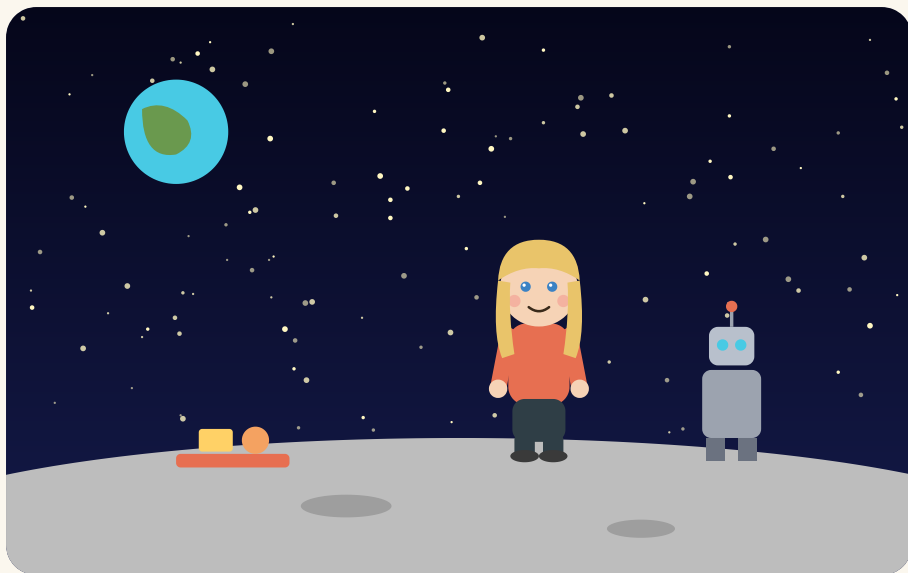
Kuba też wchodzi do środka: załoga w komplecie.

Zosia usiadła na fotelu dowódcy — odwróconym wiadrze — i chwyciła narysowaną dźwignię. Wiadro było zimne, dźwięczne i trochę się kołysało, jak łódka. Czas!

— Trzy, dwa, jeden — start! — krzyknęła *Zosia*. To była wyliczanka „raz, dwa, trzy”, tylko od tyłu.

Pudło zatrzęsło się i zahuczało: wrrrrrrr! Tak głośno, że zadzwoniły szyby w oknach, a wróble z płotu poderwały się wszystkie naraz. Wiadro-fotel podskakiwało, durszlak zjechał na nos.

A potem — uuuch! — podwórko uciekło w dół. Domy zrobiły się malutkie jak klocki, a okna — jak żółte kropki.



Niebo ciemniało, ciemniało i zrobiło się czarne.

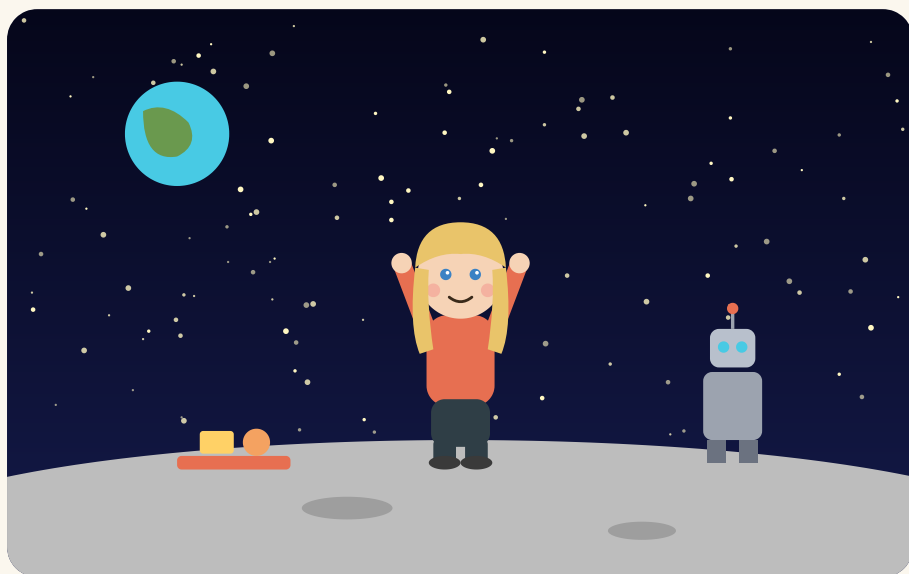
Rakieta miękko klapnęła na Księżycową Łąkę. Pył pod stopami był szary i miękki jak mąka, a ślady zostawały na nim wyraźne, jak odcisnięte pieczętką.

Zosia podskoczyła — i poleciała w górę, wysoko i powoli, jak puszek dmuchawca.

Naprzeciw toczył się robot Bip — kwadratowy, na jednym kółku, z lampkami na piersi. Za nim leciała pszczołka Zuzu z koszykiem.

— Z-znakomicie! Goście z Ziemi! Piknik gotowy!

Na każdym słoiczku miała etykietkę. Na kanapce też: „Kanapka. Nie odlatywać”.



Pytania sypały się z *Zosi* jak groch z torebki.

— Bip, a dlaczego tu wszędzie są dołki?

Dlaczego? — Bip-bip, zaraz się dowiemy!

— Bip. Fakt numer jeden — powiedział Bip. — To krater. Na Księżyc spadały kamienie z kosmosu. Gdzie spadł kamień, tam został dołek.

Postawił na kocyku miskę z mąką. *Zosia* wrzuciła do niej kamyk — puf! — i w mące pojawił się mały krater, z brzeżkiem. Zupełnie jak prawdziwy. A dookoła — biała chmurka.

— A dlaczego skaczę tak wysoko?

Dlaczego? — Bip-bip, zaraz się dowiemy!

— Fakt numer dwa. Księżyc też przyciąga, tylko słabiej niż Ziemia. Dlatego tu ważysz mniej i skaczesz wyżej.

— A dlaczego niebo jest czarne, chociaż świeci słońce?

— Fakt numer trzy. Tu nie ma powietrza. Na Ziemi powietrze rozprasza światło i niebo jest niebieskie. A tu nie ma czym go rozproszyć. A oddychamy dlatego, że klucz trzyma wokół nas bańkę powietrza. Bip-bip, to fakt!

Zuzu rozdała kanapki. *Zosia* ugryzła kawałek, machnęła ręką — i kanapka się wyslizgnęła.

Popłynęła w górę, powoli się obróciła i zaczęła krążyć wokół głowy Bipa.

— Bip ma satelitę! — zaśmiała się *Zosia*.

— Bip. To nie jest prawdziwa orbita — powiedział surowo Bip. — Ale podobna.

Wszyscy rzucili się łapać kanapkę. Tylko że na Księżycu nie da się szybko biegać: skoczysz mocno — odlecis.

Trzeba było ruszać się miękko, płynnie, jak we śnie.
Kanapkę złapała Zuzu.

— Przecież napisałam: nie odlatywać!

Potem siedzieli na kocyku i patrzyli na Ziemię —
niebieską, okrągłą, jak balonik na sznurku.

Zosia spojrzała na Bipa. Lampki na jego piersi mrugały
na różowo.

— Bip, a dlaczego się uśmiechasz?

— Nie mam uczuć — powiedział Bip. Lampki zrobiły się
jeszcze bardziej różowe.

Pomrugał. Pobrzęczał. Coś w środku policzył. Nawet
kółko mu skrzypnęło z wysiłku.

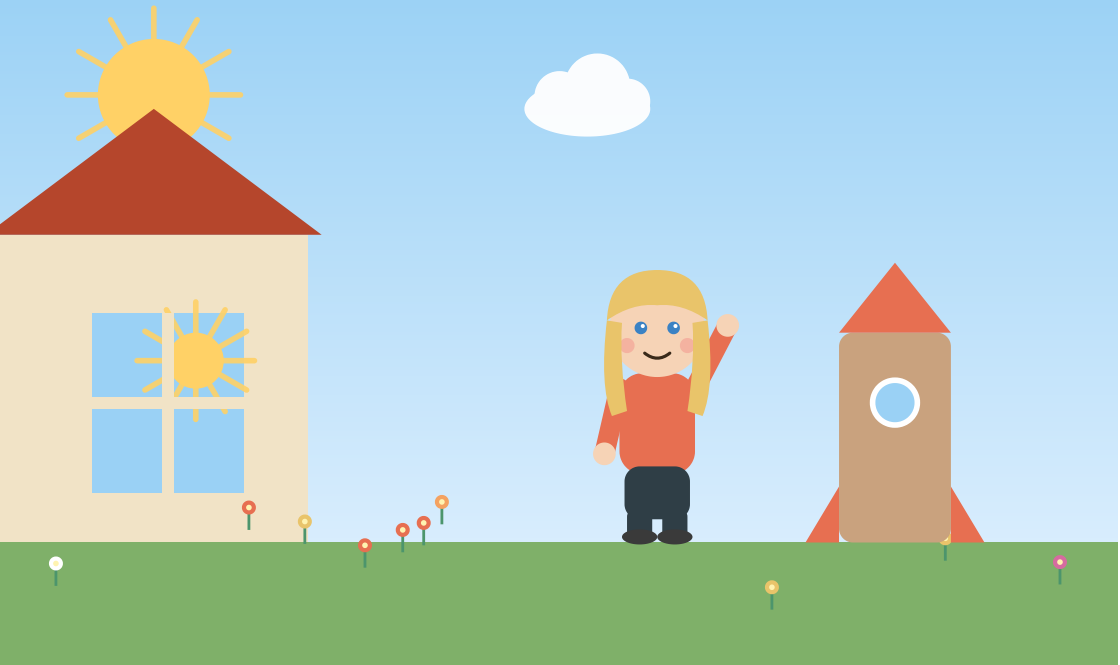
— Nie da się obliczyć... — powiedział w końcu cicho. —
Nie wiem.

Bip opuścił antenkę. Bardzo nie lubił nie wiedzieć.

— To przecież najciekawsza odpowiedź! — powiedziała
Zosia. — Od niej wszystko się zaczyna.

Bip pomyślał. Potem wyjął notes i zapisał: „Pytanie
numer cztery. Otwarte”. Lampki zrobiły mu się różowe,
różowiutkie.

Zuzu nasypała do naparstka szczyptę księżycowego
pyłu i nakleiła etykietkę: „Pył księżycowy.



Nie kichać”.

— To dla ciebie. Na pamiątkę.

Czas było wracać do domu.

— Trzy, dwa, jeden — start!

Rakieta miękko wylądowała na podwórku i pudło znowu stało się zwykłym pudłem. Gdzieś w kuchni tykał zegar: w domu nie minęła nawet minuta.

Przed snem naparstek stanął na półeczce na parapecie. A w głowie *Zosi* kręciły się już trzy nowe pytania na jutro.

„Dzyń!” — brzęknęło na niebie, jak łyżeczką o naparstek. Zapalił się piąty księżyc — i chyba mrugnął. A może to był krater.

Zosia uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Dowiemy się jutro.



Koniec

MYŚL NA DOBRANOC

„Dlaczego?” to drzwi, a „nie wiem” to początek.

PYTANIE NA DOBRANOC

O jakie trzy „dlaczego” chcesz zapytać jutro?

Czarodziejskie słowa



Klucz pod poduszką zrobił się ciepły i zanucił: „Mmm...” *Zosia* już wiedziała, co to znaczy. Puk, puk, puk — i drzwiczki otworzyły się prosto na Rumiankową Łąkę.

Pachniało tam ciepłą trawą i miodem, a rumianki były takie białe, jakby ktoś je dopiero co wyprał i powiesił do wyschnięcia.

Naprzeciw pędziła zajęczyca Puszyńska, najszybszy listonosz Krainy. W łapach — koperta większa od niej samej.

— Szybciej, szybciej, szybciej! — trajkotała. — List do Zuzu! Bardzo pilny! Biegniemy!

Droga do Miodowej Biblioteki prowadziła przez Garbaty Mostek. Mostek był malutki i wygięty jak grzbiet kota. A na samym czubku siedział krasnoludek — tyłem do wszystkich, z kapeluszem naciągniętym aż na nos.

— To Marudek — szepnęła Puszyńska. — Nikogo nie przepuszcza.

— A my po cichutku — wymyśliła *Zosia* i ruszyła na paluszkach, miękko, miękko, jak kot po kołdrze.

Pierwsza deska milczała. Druga też. A trzecia...

„SKRZYP!”

Krasnoludek się nie odwrócił. Powiedział tylko: „Hm”.

— To głośno! — postanowiła *Zosia*. Nabrała powietrza i obie z Puszyńką krzyknęły chórem:

— Przepuść nas!

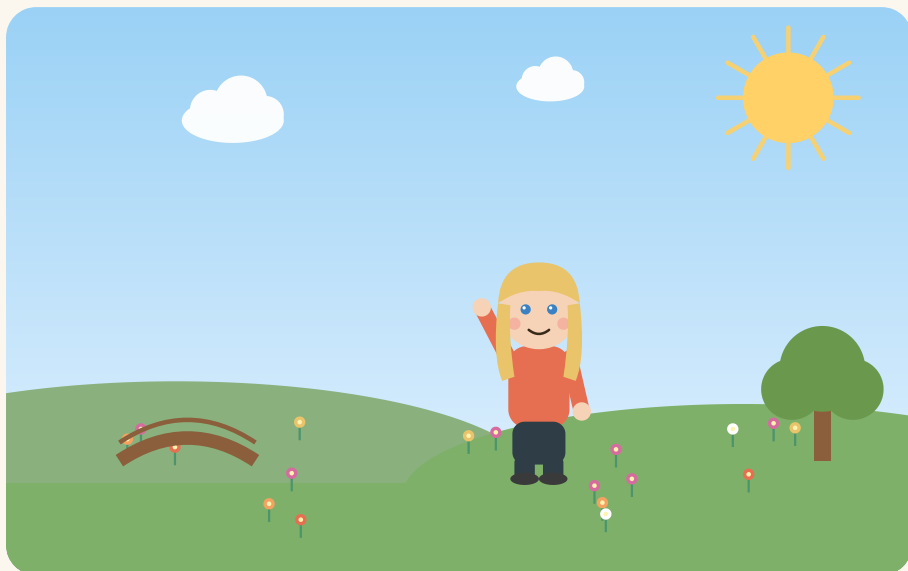
Nawet rumianki się wzdrygnęły. A krasnoludek naciągnął kapelusz jeszcze niżej. Teraz wystawała spod niego tylko broda, splątana jak kłębek, którym bawił się kotek.

„Hm”.

Puszyńska usiadła na kępcie trawy i uszy jej oklapły.

— Jestem najszybsza w Krainie — westchnęła.

— A tu szybkość nie pomaga. Tu trzeba... inaczej.



I *Zosia* przestała kombinować i krzyczeć. Po prostu zatrzymała się i popatrzyła — uważnie, tak jak się patrzy na biedronkę na dłoni.

Buty krasnoludka były zdeptane, z dziurką na pięcie. Ramiona opuszczone. Obok na desce stał pusty kubek. Siedział tak, jak się siedzi, kiedy jest się bardzo, bardzo zmęczonym.

„On nie jest zły — pomyślała *Zosia*. — On jest zmęczony. I chyba dawno nikt nie mówił do niego miło. Zupełnie nikt”.

Zosia podeszła bliżej, żeby krasnoludek słyszał bez krzyku, i powiedziała:

— Dzień dobry.

Pum! Przy bucie krasnoludka rozkwitł kwiatek — żółty jak żółtko.

Krasnoludek drgnął. Kapelusz uniósł się — troszeczkę, na jeden palec. Spod niego wyrzwał nos, okrągły i bardzo zdziwiony.

— Proszę, przepuść nas. Puszyńka ma pilny list, ktoś bardzo na niego czeka.

Pum! — drugi kwiatek, niebieski jak wieczorne niebo. I jeden kącik ponurych ust powoli powędrował w górę.

Krasnoludek wstał, otrzepał kolana i zdjął kapelusz. Pod spodem znalazły się oczy — dobre i trochę zaspane, jak u kogoś, kto wstał bardzo wcześnie.

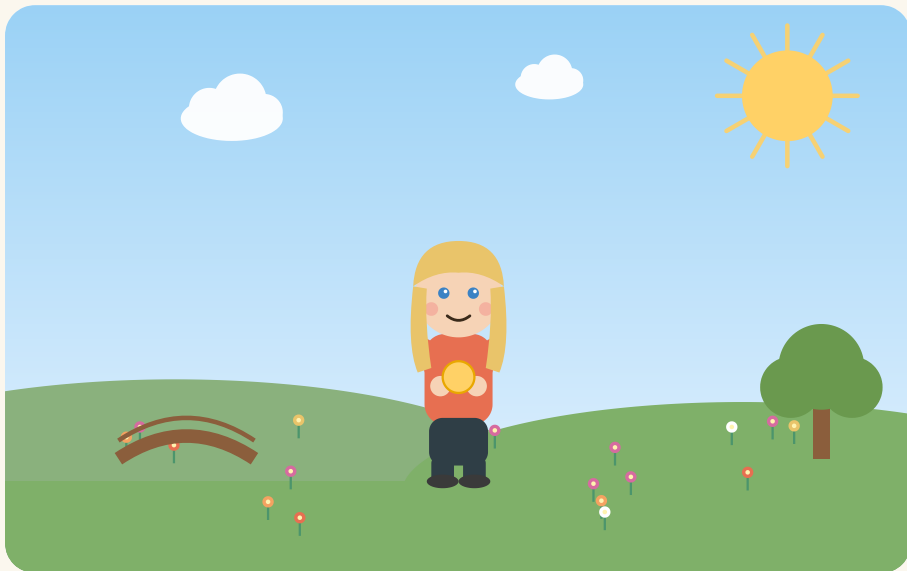
— To właśnie są czary mojego mostka — powiedział chrapliwie, jakby dawno z nikim nie rozmawiał. — Sto lat nikt o nich nie pamiętał. Wszyscy tylko się skradają albo krzyczą.

— Dziękuję — powiedziała *Zosia*.

Pum! — trzeci kwiatek, czerwony jak poziomka.

Krasnoludek zerwał go i podał *Zosi*:

— Trzymaj. Ten nie zwiędnie nigdy.



A potem krasnoludek odchrząknął, zaczerwienił się aż po uszy i powiedział — pierwszy raz od stu lat:

— Dzień... kuję ci.

I wtedy stało się coś śmiesznego: broda zaczęła mu się kręcić w loki. Sama! Loczek za loczkiem, jak wióry spod strugu. Marudek jej dotknął i się roześmiał.

— Przechodźcie — powiedział i odsunął się na bok.

— I przychodźcie jeszcze. Tak po prostu.

Puszyńka przemknęła przez mostek tak szybko, że deski nie zdążyły skrzypnąć.

List dotarł na czas.

— Z-znakomicie! — zabrzęczała Zuzu i od razu nakleiła na kopertę etykietkę: „Doręczono z kwiatami”.

A *Zosia* przez całą drogę powrotną wypróbowywała te słowa na wszystkich. „Dzień dobry, rumianku!” — i rumianek kiwał główką. „Dziękuję, Puszyńko!” — i Puszyńce różowiał nosek. „Mostku, proszę, nie skrzyp!” — i mostek nie skrzypiał.

„Dzyń!” — zaśpiewało niebo. To rozkwitał szósty księżyc — powoli, płatek za płatkim, jak kwiat na dłoni.

Z powrotem poszło szybciej: zamknąć oczy — i już własna poduszka, chłodną stroną. Zegar w kuchni tykał, jakby nic się nie wydarzyło.

Czerwony kwiatek stanął w szklance na parapecie, na półeczce na skarby. Świecił w ciemności jak mała latarka. Filemon obwąchuje go i kicha: pachnie miodem. A na mapie sowy Luny zapaliło się jeszcze jedno kółeczko.

Zosia zamknęła oczy i szepnęła ciemności: „Dobranoc”.

Ciemność pomilczała. A potem chyba cichutko odpowiedziała: „Dziękuję”.



Koniec

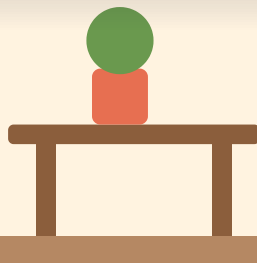
MYŚL NA DOBRANOC

Najpierw przyjrzyj się uważnie, potem powiedz dobre słowo.

PYTANIE NA DOBRANOC

A komu ty dzisiaj powiedziałaś dobre słowo — i co się potem stało?

Zgubiony uśmiech



Ranek zaczął się nie tak. Lewa skarpetka okazała się gryząca, kaszka — z grudkami, a za oknem wisiało szare niebo jak mokre prześcieradło.

Zosia siedziała na łóżku i boczyła się — na skarpetkę, na kaszkę i na cały świat naraz. Złościło ją i smuciło jednocześnie, i nie wiadomo dlaczego. Nawet deszczyk za oknem stukał jakoś obrażony.

Usta same ułożyły się w podkówkę.

I wtedy *Zosia* zauważyła najgorsze: uśmiechu nie ma. Wcale. Zgubił się!

Szukała go wszędzie.

Pod łóżkiem znalazła się druga skarpetka — zakurzona i bardzo z siebie zadowolona. W szufladzie biurka — guzik, którego szukano od zeszłej zimy. W kieszeni piżamy — tylko okruszki i jedna rodzynka. *Zosia* zajrzała nawet do kapcia: uśmiechy bywają malutkie, mógł się tam wturlać.

Uśmiechu nie było nigdzie — ani dużego, ani małego. A potem ktoś zapukał w okno. Cicho, mokro: kap. Kap, kap.

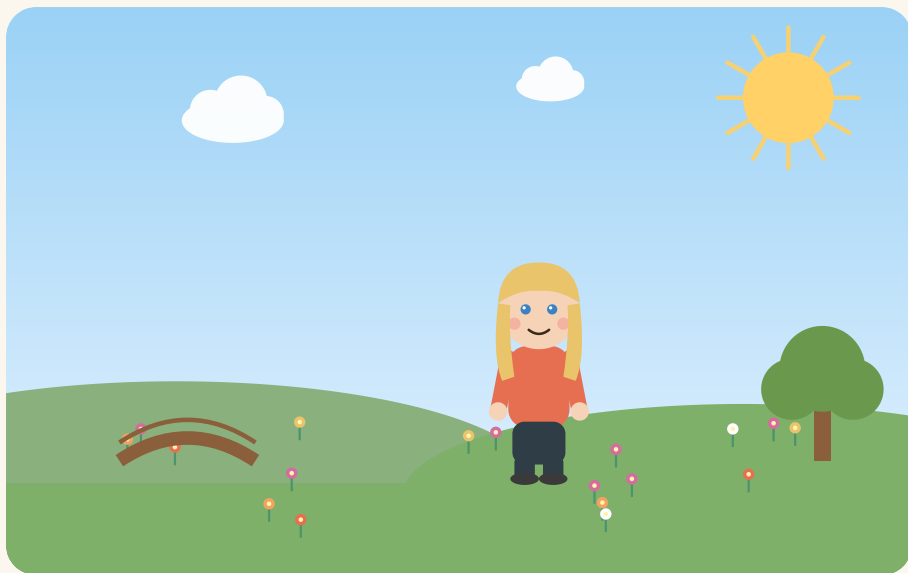
Za szybą wisiała chmurka — malutka, kędzierzawa i szara jak sweterek po praniu. Kapało z niej na parapet.

Zosia otworzyła okno i chmurka wpłynęła do pokoju, zostawiając na podłodze mokre kropki.

— Dzień dobry — powiedziała grzecznie. — Jestem Kłębuszek. Mam dziś w sobie zachmurzenie umiarkowane, miejscami deszczyk. A jaka pogoda jest w tobie?

Zosia się zamyśliła. O pogodę za oknem pytano często. A o pogodę w środku — jeszcze nikt i nigdy.

— We mnie... grzmi — powiedziała w końcu *Zosia*. — Jestem zła.



I jeszcze smutna. Naraz.

— Burza z deszczykiem — kiwnął Kłębuszek i spadła z niego kropla. — Zdarza się. Każda pogoda jest w porządku.

— A jak nie wiem, dlaczego?

— To chodźmy tam, gdzie jest dużo miejsca. Tam każda pogoda się zmieści.

Kłucz pod poduszką zrobił się ciepły i zanucił: „Mmm...”
Puk, puk, puk — i drzwiczki otworzyły się prosto na Rumiankową Łąkę, mokrą i błyszczącą po deszczu.

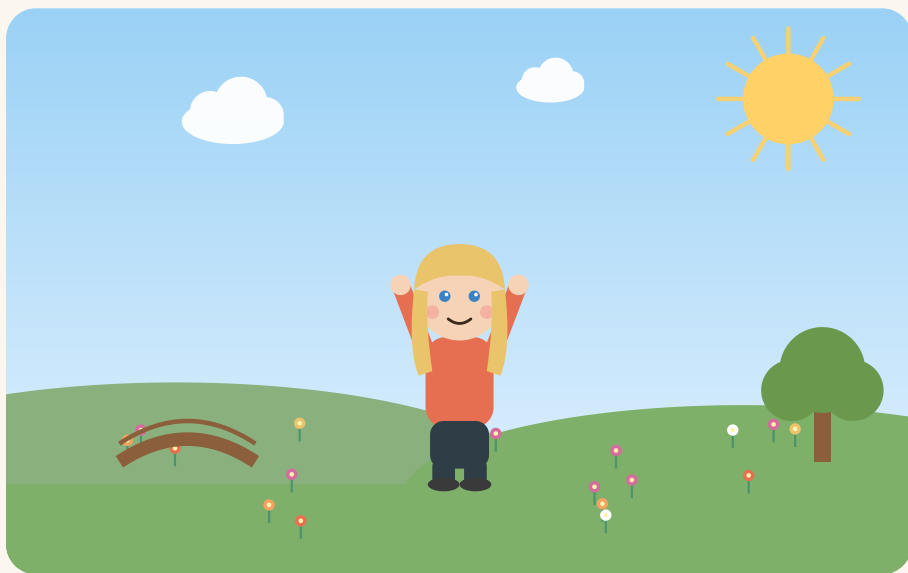
Na kępcie siedziała zajęczyca Puszyńska. Rzadka rzecz: nigdzie nie biegła, a nawet zdjęła z ramienia torbę z listami.

— Jestem szybka, ale słucham powoli — powiedziała. —
Opowiadaj.

I *Zosia* opowiedziała: o gryzącej skarpetce, o kaszce z
grudkami, o szarym niebie. Puszyńka nie przerywała,
tylko obracała uszy.

— Aha... A co jeszcze?

Z każdym słowem w środku robiło się przestronniej, jakby
ktoś otworzył okno.



— A złość gdzie podziąć? — zapytała *Zosia*.

— W ziemię! — powiedział Kłębuszek. — Jest ciężka.
Tupnij!

Zosia tupnęła w kałużę. Bryzgi poleciały na wszystkie
strony — na trawę, na rumianki, na nos.

— Tup, tup, tup — złość pod spód!

Jeszcze jedna kałuża, i jeszcze! A Kłębuszek płynął tuż nad głową i polewał deszczykiem sam czubek, jak parasol na opak. Przy dziesiątej kałuży złość się skończyła i zaczął się śmiech — mokry, aż po uszy.

— A smutek? — zapytała *Zosia*, kiedy już złapała oddech.

— Smutek jest lekki — powiedział Kłębuszek. — Smutek się wydmuchuje.

Zosia nabrała pełno powietrza, aż policzki nadęły się jak dwa baloniki — i: „Ufff!”

Uff — smutku, fruń do chmurki!

Razem z „uff” wyleciały dwie łezki. To nic. Kłębuszek złapał je w locie, jak łapie się płatki śniegu, i powiedział rzeczowo:

— Doskonale. Akurat brakowało mi do tęczy.

I chmurka zaczęła powoli odpływać na bok.

Kłębuszek odsunął się jak firanka — a za nim było słońce. Stało tam przez cały czas, tylko go nie było widać.

I *Zosia* poczuła, jak usta same się rozciągają. Uśmiech!



Wcale się nie zgubił. Chował się za burzą, jak słońce za chmurą.

Nad łąką wygięła się tęcza — zupełnie jak uśmiech, tylko ogromny.

„Dzyń!” — brzęknęło na niebie, jak kropla o parapet. To zza chmur wyszedł siódmy księżyc — razem z uśmiechem.

Puszyńka podała kamyczek — gładki, chłodny, szary jak mała chmurka, z dołeczkiem akurat na kciuk.

— To złościć. Kiedy się złościć — ściśnij go mocno. Kamień się nie obrazi.

Z powrotem poszło szybciej: zamknąć oczy — i już własny pokój. Słońce leżało na poduszce ciepłą plamą. A na mapie sowy Luny zaświeciło się jeszcze jedno kółeczko.

Filemon wskakuje na łóżko i liże policzek: no nareszcie!

Kamyczek w garści. Uśmiech na miejscu — jakby nigdzie nie odchodził.



Koniec

MYŚL NA DOBRANOC

Każde uczucie ma imię i każde jest w porządku.

PYTANIE NA DOBRANOC

A jaka pogoda była dziś w tobie — i co pomogło jej się przejaśnić?

Urodziny na opak



Wieczorem na poduszce leżała koperta. Napis szedł od tyłu: „KAPO AN YNIZDORU”. *Zosia* przyłożyła ją do lustra i przeczytała: „Urodziny na opak”. A niżej, maczkiem: „Na twoją cześć. Przyjdź”.

Klucz pod poduszką zrobił się ciepły i zanucił: „Mmm...” Puk, puk, puk — i drzwiczki otworzyły się prosto na Świąteczną Polanę przy Księżycowej Wieży. Wisiały tam chorągiewki, kołysały się lampiony i pachniało miodem tak mocno, że chciało się oblizać.

Goście przyszli wszyscy naraz — i wszyscy tyłem.

Czapeczki mieli włożone na nogi.

— Do widzenia! Do widzenia! — wołali radośnie. U nich to znaczyło „dzień dobry”.

Mały smok Iskierek zaplątał się w swoją czapeczkę, klapnął na trawę i czknął: „Hyk!” — w powietrzu błysnęła iskierka.

A świeczki na stole najpierw zdmuchnięto, a potem zapalono.

— Na opak — to na opak! — roześmiała się *Zosia*. Było okropnie śmiesznie.

Dopiero potem *Zosia* zauważyła: prezentów nie ma. Ani jednego pudełeczka, ani jednej kokardki.

— A dla mnie? — zapytała cicho. W gardle zrobiło się ciasno. Przecież to święto na jej cześć!

Przyfrunęła sowa Luna, strażniczka księżyców, puchata jak stara rękawiczka.

— Uhu. Wszystkiego... wszystkiego...

Zapomniałam, czego wszystkiego! — Sowa zajrzała *Zosi* w oczy. — Przykro ci? Rozumiem. Ale u nas jest na opak: prezenty daje ten, kto ma święto. Spróbuj. Księżyce nie uciekają.

Zosia spojrzała na gości. Goście patrzyli na nią — z nadzieją.



— No dobrze — westchnęła *Zosia*. — Na opak — to na opak.

Na stole znalazł się kolorowy papier, szyszki, klej i duży koszyk ze wstążką. Ale co komu dać? *Zosia* zaczęła przyglądać się gościom — uważnie, jak przez lupę.

Mały smok Iskierka trząsł się i chuchał na łapki. Lisek Rudek miał kieszenie pełne kamyczków. Otto, ośmiornica w beczce z morską wodą, przeproszał każdego, kto przechodził obok.

A robot Bip pytał „dlaczego?” częściej, niż mrugał lampkami.

Sowie Lunie — rysunek: wszystkie dwanaście księżyców w kole, żółtą kredką, która pachniała drewnem. Żeby nie zapominała.

— Uhu... — Sowa przycisnęła rysunek do puchatej piersi. — Jeszcze nikt nigdy nic mi nie podarował.

Iskierkowi — szalik w paski. Iskierka owinał się nim aż po oczy, pomilczał i powiedział:

— Wiesz... ciepło mi. I nie tylko z zewnątrz.

I z radości czknął tak, że iskierka wyszła w kształcie serduszka.

Rudkowi — błyszczący kamyczek, w paski jak lizak, do kolekcji. Rudek schował nos w ogon: kiedy bardzo się cieszy, zawsze się wstydzi.

Ottowi — kartka „Dzień bez «przepraszam»”. Otto przeczytał ją, nabrał powietrza, zaczął: „Przepra...” — złapał się w pół słowa i zaśmiał się, bulgocząc.

Bipowi — pudełeczko przewiązane nitką, a w nim pytanie: „Dlaczego dawanie cieszy?”

— Nie da się obliczyć... — powiedział Bip.



A lampki zamrugały mu jak choinkowe światełka.

Jedną paczuszkę *Zosia* odłożyła osobno. Było na niej napisane: „Kuba”.

Każda szczęśliwa buzia sprawiała, że *Zosi* robiło się jeszcze radośniej. To było dziwne: prezentów nie dostało się ani jednego, a radości — cała góra. Iskierek ciągle dotykał szalika, Rudek oglądał kamyk pod światło, a sowa Luna pokazywała rysunek wszystkim po kolei.

Zapadł wieczór. Lampiony zrobiły się miodowe. Koszyk opustoszał — tylko wstążka na dnie.

A w sercu *Zosi* było pełno. Jakby koszyk się tam przeprowadził.

Filemon obwąchuje pusty koszyk: pachnie miodem.



I wtedy pszczołka Zuzu wyniosła tort — ogromny, miodowy, ze świeczkami-księżycami.

— Z-znakomicie, kroimy! — zabrzęczała. — Tylko jubilatce — największy kawałek!

— A właśnie że nie — powiedziała *Zosia*. Przeliczyła gości, wzięła nóż i pokroiła tort równiutko, jak od linijki. Wszystkim — po równo.

Ostatni kawałek przypadł *Zosi*. Był dokładnie taki sam jak u wszystkich — ani większy, ani mniejszy.

Zuzu spojrzała na niego, potem na swój, i kiwnęła głową.

I to okazało się najsmaczniejszym prezentem.

„Dzyń!” — brzęknęło nad polaną, jakby ktoś stuknął się filiżankami z herbatą. Na niebie zapalił się ósmy księżyc — okrągły i złoty jak tort.

Z powrotem poszło szybciej: zamknąć oczy — i już własna poduszka, chłodną stroną. W kuchni cicho tykał zegar.

W garści została wstążka od koszyka. Pachniała miodem. *Zosia* położyła ją na półeczce na parapecie.

Było syto, ciepło i sennie. Na mapie sowy Luny zaświeciło się jeszcze jedno kółeczko — złote jak miód.

Koszyk pusty, a w środku — pełniuteńko.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Kiedy się dzielisz, radości jest więcej.

PYTANIE NA DOBRANOC

A pamiętasz, jak komuś dałaś prezent?
Jaką miał minę?



Wielki wyścig ślimaków



Klucz pod poduszką zrobił się ciepły: „Mmm...” Puk, puk, puk — i drzwiczki otworzyły się na Rumiankową Łąkę. Tam, na bieżni dla ślimaków, kredą narysowano linię startu, a na patyczkach trzepotały chorągiewki.

Dzisiaj był Wielki Wyścig Ślimaków, a *Zosia* była główną sędzią. Puszynka włożyła jej na głowę sędziowski kapelusz z liścia łopianu i wręczyła lupę — ogromną jak patelnia.

— Sędzia musi widzieć wszystko — powiedziała i zawiesiła sobie na szyi gwizdek.

Na starcie stały cztery ślimaki, każdy z numerem na muszli: Rakietka, Błyskawica, Śmigacz i Kropka. Najwolniejsze stworzenia Krainy nosiły najszybsze imiona.

Puszyńka gwizdnęła: fiuuu! Wyścig się zaczął.

Rakietka wysunęła różki. Błyskawica się zamyśliła. Śmigacz ziewnął. A Kropka po prostu siedziała i rozglądała się dookoła.

— No szybciej! — nie wytrzymała *Zosia*. — No, jazda!

Ślimaki nie pojechały. Popęzły. O jeden centymetr. Może o półtora.

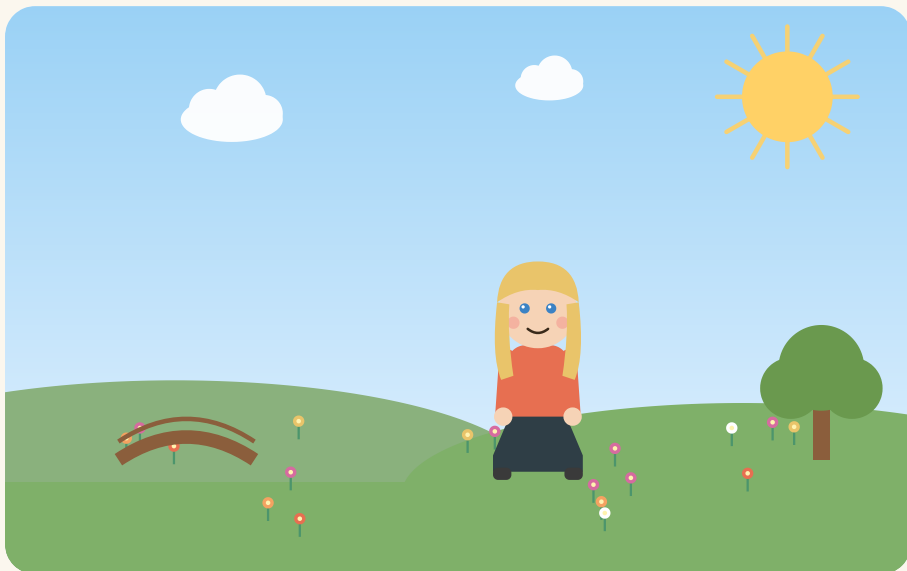
Puszyńka przysiadła obok. Łapy same jej podskakiwały, uszy drgały: stanie w miejscu było dla niej najtrudniejszą rzeczą na świecie.

— Jestem szybka — szepnęła. — A czekać nauczyłam się powoli. Dzisiaj szybkość nie jest najważniejsza. Patrz przez lupę. Tylko cicho.

— A co tam oglądać? Tam jest sama trawa.

— Wszystko, co się trafi. Powoli, powolutku, cicho, cichutko...

Zosia westchnęła, położyła się na brzuchu w ciepłej trawie i przyłożyła lupę do oka.



Najpierw *Zosia* zobaczyła biedronkę. W lupie była ogromna jak czerwony parasol w kropki.

Biedronka wspinała się na źdźbło jak na górę: ześlizgnie się, odpocznie — i znowu w górę. Żdźbło kołysało się pod nią. Na samym czubku biedronka rozłożyła skrzydełka — frrr! — i odleciała.

— Widzieliście? — szepnęła *Zosia* do ślimaków.

Ślimaki nie widziały. Pełzły. Jeszcze o centymetr. A *Zosia* już szukała wzrokiem, co dalej.

Potem — kropla rosy na źdźble. Okrągła jak szklana kulka. A w niej tęcza, malutka jak paznokieć. I jeszcze ktoś był w kropli: ktoś z lupą, w kapeluszu z liścia.

Zosia roześmiała się: przecież to ona sama!

Potem konik polny zagrał na skrzypeczkach: cyk-cyk-cyk. Potem mrówka przeciągnęła obok okruszek — większy od niej samej — i ani razu go nie upuściła. *Zosia* patrzyła i patrzyła — i zupełnie zapomniwała o wyścigu.

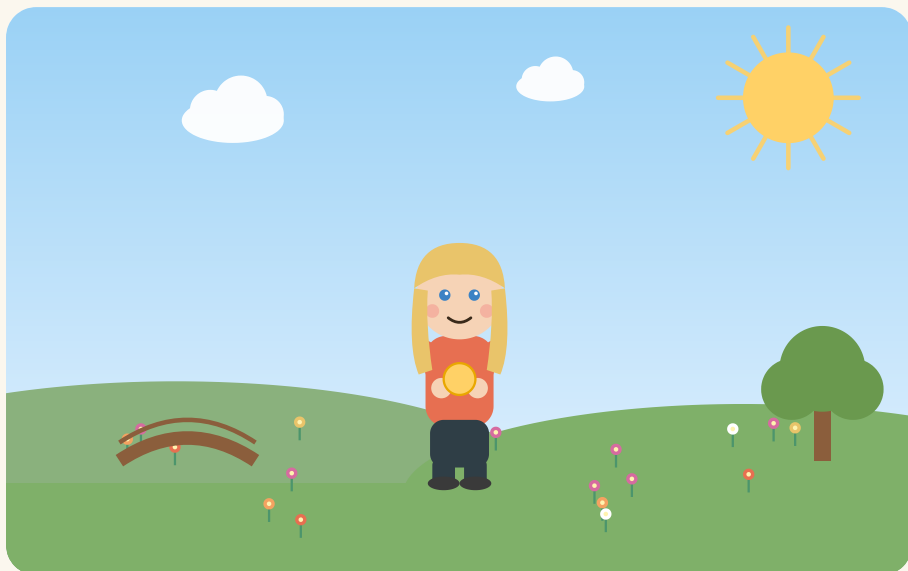
Dziwna sprawa: czekanie przestało być nudne.

Zosia już nie poganiała ślimaków, tylko opowiadała im, co widać przed nimi: „Tu biedronka odleciała. A tam rosa, uwaga, mokro”. Ślimaki ruszały różkami — naprawdę słuchały.

Słońce przyjemnie grzało plecy, trawa pachniała miodem, a czas płynął powoli, jak miód z łyżeczki. Okazało się, że jeśli nie poganiać minut, robią się długie, ciepłe i bardzo ciekawe.

Filemon aż drży — tak bardzo chce pogonić ślimaki. „Poczekaj”

— prosi *Zosia* i sama się dziwi, że tak umie.



I oto — meta! Wszystkie cztery ślimaki dopełzły do linii z kredy naraz, różki w różki.

— Kto pierwszy? No kto pierwszy? — Puszyńska całkiem się pogubiła. Nawet przestała podskakiwać.

Zosia pochyliła się z lupą. I zrozumiała: Kropka mogła przyjść pierwsza. Całą drogę pełzła na przędzie, ale co chwilę się zatrzymywała i czekała na tych, którzy zostali w tyle.

— Medale dla wszystkich! — postanowiła *Zosia*. — Przyszły razem. Czyli razem wygrali.

Medale były z czapeczek żołądzi, na źdźbłach trawy zamiast wstążek. Puszyńka zawiesiła je każdemu ślimakowi. Kropce — pierwszej.

A potem wyjęła z torby jeszcze jeden i zawiesiła *Zosi* na szyi.

— Za cierpliwość — powiedziała.

Zosia dotknęła medalu. Był szorstki, lekki i ciepły od słońca, jak prawdziwy żołądź. Sowa Luna, strażniczka księżyców, ma takie powiedzonko: „Księżyce nie uciekają”. Teraz stało się jasne, co ono znaczy.

Na niebie zadzwoniło: „Dzyń...” — cichutko, jakby i księżyc nigdzie się nie spieszył. I powoli, powolutku, jak ślimak na mecie, zapalił się dziewiąty księżyc.

Z powrotem można było szybciej. Ale *Zosia* zamknęła oczy bez pośpiechu — żeby niczego nie przegapić.

Medal trafił na półeczkę na parapecie. Na mapie sowy Luny niespiesznie zaświeciło się jeszcze jedno kółeczko. Za oknem zaszeleściła noc.

A sen przyszedł sam — bez pośpiechu, jak Kropka. Powoli, powolutku, cicho, cichutko...



Koniec

MYŚL NA DOBRANOC

Kto umie czekać, ten widzi więcej.

PYTANIE NA DOBRANOC

A co ciekawego zauważyłaś, kiedy musiałaś długo czekać?

Strażniczka zimowego lasu



Tego wieczoru klucz pod poduszką nucił:
„Mmm...” — i pachniał nie wiedzieć czemu
choinką. Pociągnął rękę w stronę ściany i na
tapecie pojawiły się złote drzwiczki.

Puk, puk, puk. Drzwiczki skrzypnęły — i do pokoju
wleciały trzy płatki śniegu. Zza drzwiczek wiało
chłodem i pachniało igliwem i skórką
mandarynki.

Zosia naciągnęła czapkę, owinęła się swoim
szalikiem w paski i zrobiła krok. Śnieg zachrupał
pod stopami jak cukier w cukiernicy.

Na ośnieżonej gałęzi siedziała sowa Luna — biała od szronu jak śnieżka z oczami.

— Uhu. Zimowy las potrzebuje strażniczki. Na jeden dzień. Podejmiesz się?

Przypięła *Zosi* do pizamy drewnianą odznakę z wyciętą choinką. Odznaka była lekka jak guzik i pachniała żywicą. A stać z nią chciało się prosto, prościutko, jak stoją wartownicy przy bramie.

Obok — Kuba: strażniczka potrzebuje drugiej pary rąk.

— Kto się zatroszczy o las? — zapytała sowa i nastroszyła pióra.

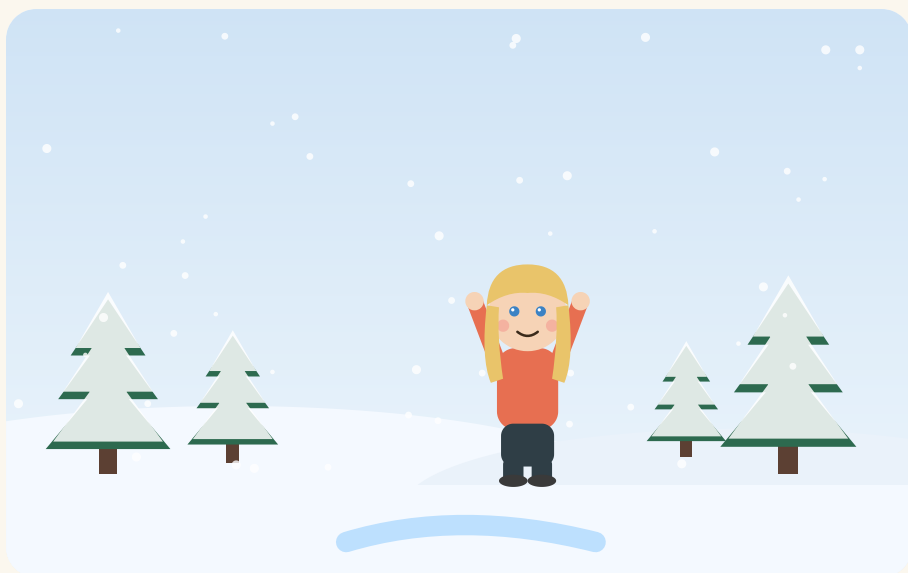
— Ja! — powiedziała *Zosia*. Samo się wyrwało.

Pierwsza sprawa znalazła się od razu. Strumyk zamarzył i zwierzęta stały na brzegu smutne: jelenie lizały lód, zając stukał w niego łapką. Przecież chce się pić!

Przyleciał mały smok Iskierek — malutki, wielkości dłoni.

— Hyk! Ja umiem grzać! Jestem przecież smokiem! No... niedużym.

Chuchał na kamień, aż ten zaczął parować.



Zosia wzięła gorący kamień w rękawiczki i położyła na lodzie. Lód westchnął — szszsz — i roztopił się okrągłym okienkiem.

Lisek Rudek ułożył do okienka ścieżkę z gałązek świerku, żeby nikt się nie poślizgnął. Gałązki kłuły i pachniały jak choinka.

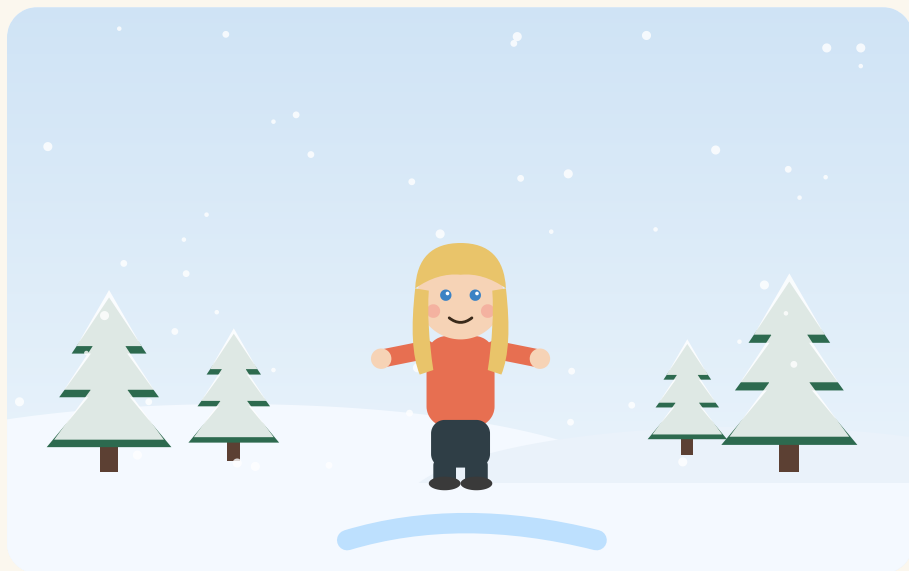
Jelenie ustawiły się w kolejce. „Proszę, pan pierwszy” — ukłonił się jeden. „Ależ skąd, pan pierwszy” — ukłonił się drugi. Kłaniały się tak długo, że pierwszy zdążył się napić zająć.

Rudek nachylił się, żeby zajrzeć do wody — i bęc!

— wpadł nosem w zaspę. Wynurzył się z białą brodą.

— A mogę... teraz być dziadkiem?

A Filemon tarza się w śniegu jak pieróg w mące.



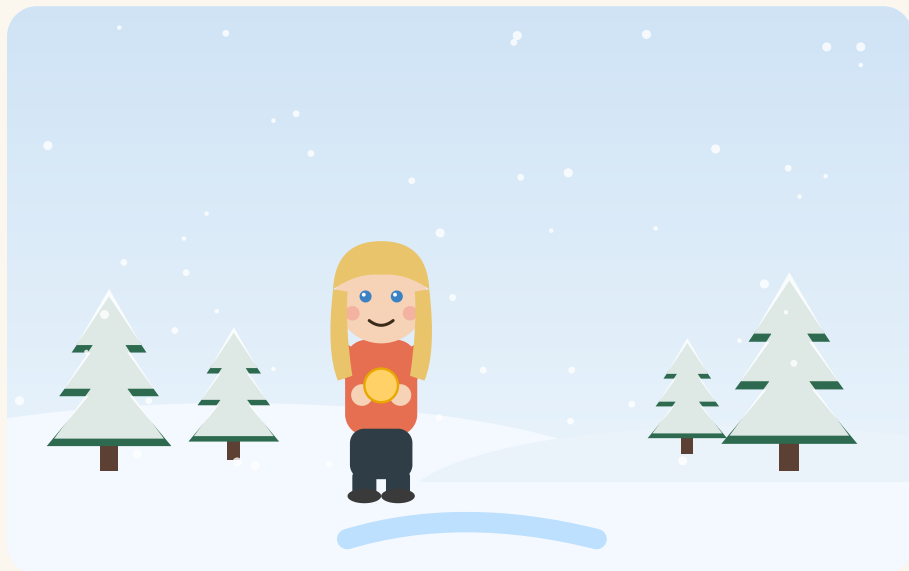
Pod świerkiem ktoś cieniutko drżał. Jelonek! Nóżki jak patyczki, na rzęsach śnieżynki, oczy mokre. Został w tyle za mamą i się zgubił.

Kto się zatroszczy? — Ja!

Zosia zdjęła swój szalik w paski i owinęła jelonka aż po uszy. Jelonek od razu przestał drżeć. Za to szyi zrobiło się zimno. Ale Iskierek wdrapał się *Zosi* na ramię i owinął się wokół szyi jak ciepły kołnierz.

— Hyk. Tak lepiej?

Było dużo lepiej. Kołnierz nawet przytulnie posapywał.



Teraz trzeba było znaleźć mamę-łanię. Rudek narysował patykiem na śniegu mapę: tu świerk, tu strumyk, tu ślady.

Zosia przykucnęła i przyjrzała się uważnie. Małe ślady — jelonka. A obok duże, jak połówki serduszka. Prowadziły za górkę.

— Musimy tam — postanowiła *Zosia*.

Za górką stała łania i cichutko wołała. Jelonek pobiegł do niej w podskokach, w szaliku, jak w odświętnej kokardzie.

Łania chuchnęła *Zosi* na rękawiczki — ciepło jak z piekarnika.

Trzecia sprawa była o jutrze. Zimą ptaki są głodne: ziarenka pod śniegiem, jagody pod śniegiem, wszystko pod śniegiem.

Zosia zebrała szyszki, smarowała je miodem i obtaczała w ziarenkach. Palce się sklejały, jakby ktoś posmarował je klejem. Iskierek czekał ze śmiechu, a Rudek pokazywał, na którą gałąź wieszać.

Szyszki zawisły na gałęziach i wkrótce świerk zaczął wiercić. Gile obsiadły go, czerwone jak jabłka. Wyszła zimowa jabłoń.

Ściemniło się wcześniej, jak to zimą. Ale ciemność w lesie była pełna światełek i znajomych głosów i nie było się w niej kogo bać. Wzdłuż ścieżki same zapaliły się śnieżne światełka. Ptaki zaśpiewały. Łania z jelonkiem odprowadziły *Zosię* aż do drzwiczek.

— Las już powiedział dziękuję — sowa Luna dotknęła skrzydłem odznaki. — Zatrzymaj ją.



W mroźnym powietrzu brzęknęło: „Dzyń!” — jak sopel o sopel. Świeci dziesiąty księżyc — biały jak świeży śnieg.

W domu odznaka trafiła na półeczkę na parapecie. A za oknem cichutko kołysała się szyszka z ziarenkami.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

*Troska to małe rzeczy robione własnymi
rękami.*

PYTANIE NA DOBRANOC

A o kogo ty się dzisiaj zatroszczyłaś —
choć troszkę, choć jedną rzeczą?



Miasto, w którym chowają się sny



Zosia nie mogła zasnąć. Obróciła się na lewy bok, potem na prawy, potem na plecy. Myśli skakały w głowie jak piłki na boisku: o jutrze, o wczoraj i o tym, po co kotom wąsy. Poduszka nagrzała się z obu stron, kołdra zwinęła się w harmonijkę, a jedna pięta ciągle marzła. Nawet zegar w kuchni tykał za głośno.

A klucz pod poduszką nucił bardzo cicho, jakby bał się kogoś obudzić: „Mmm...”

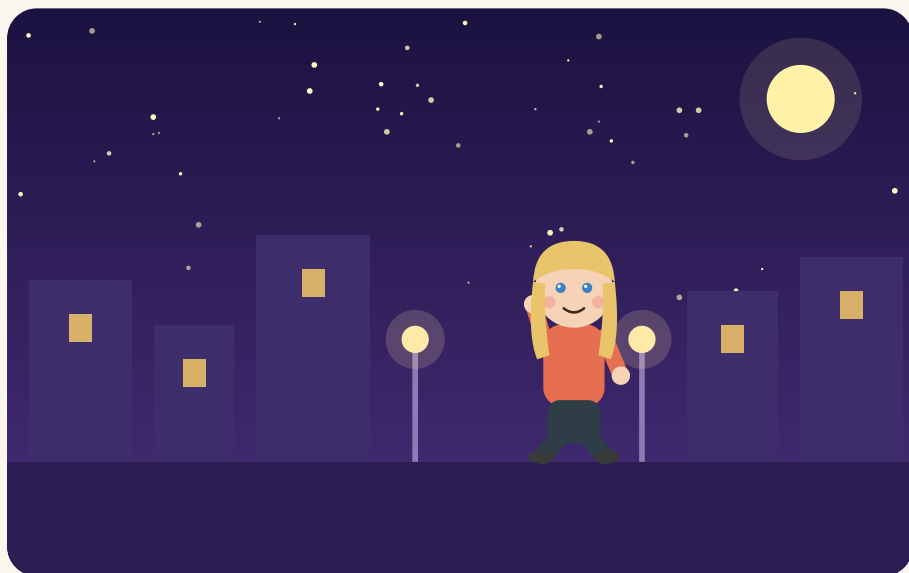
Drzwiczki w ścianie otworzyły się bezszelestnie, jakby wiedziały, że nie wolno hałasować.

Za nimi leżała ulica — brukowana, senna i bardzo powolna.

Domy stały w szlafmycach z pomponami. Z kominów dochodziło pochrapywanie: jeden dom chrapał basem, drugi — z gwizdem. Latarnie nie świeciły.

Na dachu siedział kot, wielki i rudy, miękki jak poduszka na kanapie. Koniuszek ogona świecił mu jak knot świeczki.

— Ciii-ciii... latarnie słuchają — powiedział kot-latarnik Mruczek.



Zosia pobiegła do niego przez ulicę — i najbliższa latarnia od razu zadrżała i przygasła.

— Nie spiesz się — powiedział Mruczek. — Od pośpiechu latarnie gasną. A od oddechu się zapalają. Wdech — wachamy kwiatek. Wydech — dmuchamy na świeczkę.

Zosia zatrzymała się na środku ulicy. Wciągnęła powietrze — pachniało świeżą pościelą. Wpuściła je — powoli, powolutku.

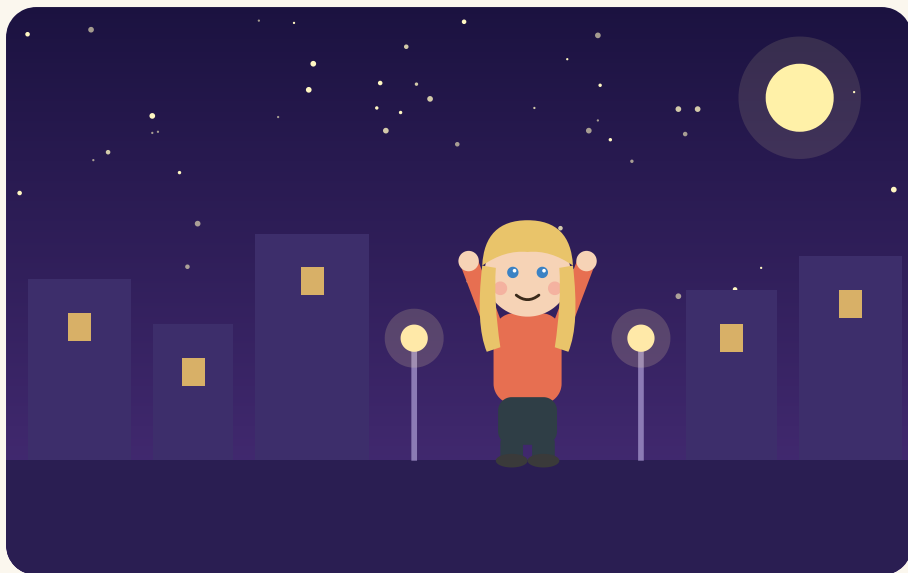
Mruczek dotknął latarni ogonem i latarnia się zapaliła, żółta i ciepła jak herbata z miodem.

I tak szli ulicą. Wdech — i krok. Wydech — i nowa latarnia.

Kroki robiły się coraz wolniejsze i miększe. Myśli-piłki już nie skakały. Toczyły się ciszej, ciszej — i ułożyły się w koszyku jak kocięta.

Ulica łagodnie schodziła w dół. Kamienie pod stopami były ciepłe jak piec. Latarnie zapalały się jedna po drugiej. A za plecami zostawała ścieżka ciepłego światła. Gdzieś cicho brzęknął dzwonek u drzwi i umilkł.

Ulica zaprowadziła ich na mały okrągły plac. Stały tam półki, a na półkach — słoiczki.



Mnóstwo słoiczków: okrągłe, wysokie jak szklanki i całkiem malutkie. Lekko świeciły, jak świetliki.

Zosia zajrzała do jednego — pusto. Zajrzała do drugiego — też pusto.

— Snów tu nie rozdają, mrrr — powiedział Mruczek. — Sen trzeba sobie wymarzyć. Przypomnij sobie coś ciepłego.

Zosia usiadła na stopniu i się zamyśliła. Dobrych rzeczy było dużo. A wybrać trzeba jedną.

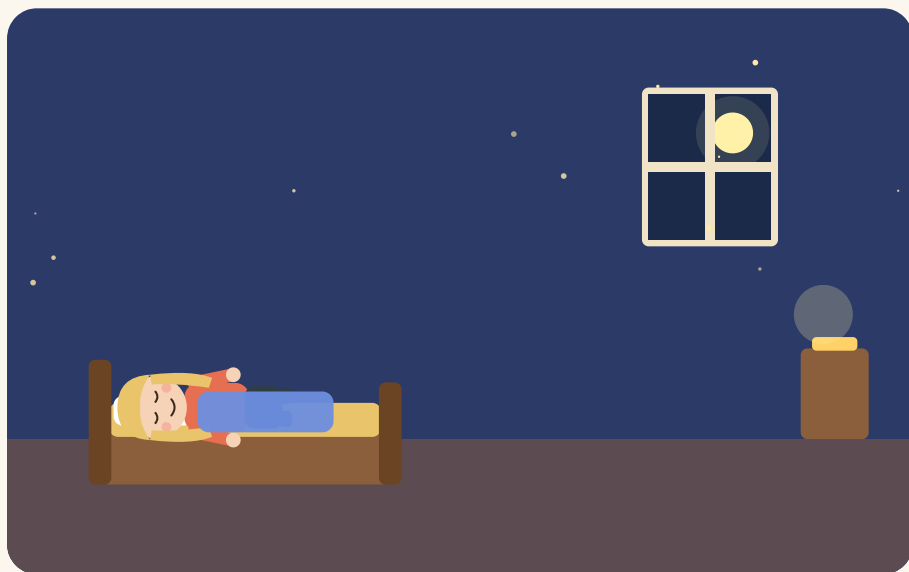
I *Zosia* wybrała. Ciepły ręcznik po kąpieli. Deszczyk za oknem, kiedy jest się w domu, w ciepłe i w pizamię.

Słoićzek w dłoniach zrobił się ciepły. Na dnie zapaliło się światło. Wznosiło się powoli, jak mleko w garnuszku. I doszło do samego brzegu.

Wysoko na niebie cicho zadźwięczało: dzyń. Cicho, jak łyżeczka w szklance.

Świeci jedenasty księżyc.

Mruczek kiwnął głową. Koniuszek ogona świecił mu równo, równiutko. Słoićzek grzał dłonie.



Zosia trzymała słoićzek oburącz. Ostrożnie, jak pisklę. Mruczek poprowadził z powrotem. Jego ogon świecił z przodu jak mała świeczka. Szli powoli, krok za krokiem.

Kocie łby pod stopami były gładkie i ciepłe. Latarnie za plecami gasły. Jedna, potem druga. Miętko, bez pstryknięcia. Jakby zasypiały. Domy w szlafmycach chrapały coraz ciszej. Cisza była miękka jak wata.

Oto drzewiczki. Oto dywanik. Krok.

Oto łóżko. Poduszka chłodną stroną. Kołdra miękka i ciepła.

Słoiczek stoi na parapecie. Świeci troszeczkę, jak okruszek światła.

W nogach posapuje Filemon.

Myśli leżą w koszyku. Klucz pod poduszką milczy.

Oczy ciężkie. Ręce ciepłe, nogi ciepłe, policzki ciepłe.

Wdech — wachamy kwiatek. Wydech — dmuchamy na świeczkę.

Za oknem księżyc. Przygasa sam. Jak lampka nocna przed snem.

Zrobiło się cicho. Jeszcze ciszej.

Sen przyszedł. Już tu jest.

Dobranoc, *Zosiu*.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Spokojny wdech i wydech to droga do
dobrego snu.

PYTANIE NA DOBRANOC

A jakie ciepłe wspomnienie włożyłabyś
dziś do swojego słoiczka?



Wielka podróż do domu



Klucz pod poduszką nucił tego wieczoru jakoś szczególnie: cicho, ale uroczyście, jak czajnik przed przyjściem gości. Drzwiczki otworzyły się od pierwszego „puk”. Pod stopami zaszeleściła ciepła trawa, zapachniało miodem.

Przy Księżycowej Wieży, podobnej do latarni morskiej, czekała sowa Luna. Nie spała, nawet nie ziewała.

— Uhu. Ten księżyc jest najtrudniejszy — powiedziała. — Zapali się, kiedy ktoś pokaże Krainie, co to jest dom.

I podała *Zosi* latarenkę — szklaną, lekką i pustą.

W środku nie było ani iskiej.

— Ta latarenka nie pali się od zapalek — wyjaśniła sowa. — Pali się od wspomnień. A odprowadzić cię przyszli wszyscy.

Latarenka była na razie zimna jak szklanka z wodą.

Pierwszy przybiegł Iskierka, mały smok, który kiedyś bał się ciemności. W łapkach miał iskę.

— Wciąż troszeczkę boję się ciemności — powiedział. — Ale teraz wiem: mogę być dla kogoś światłem.

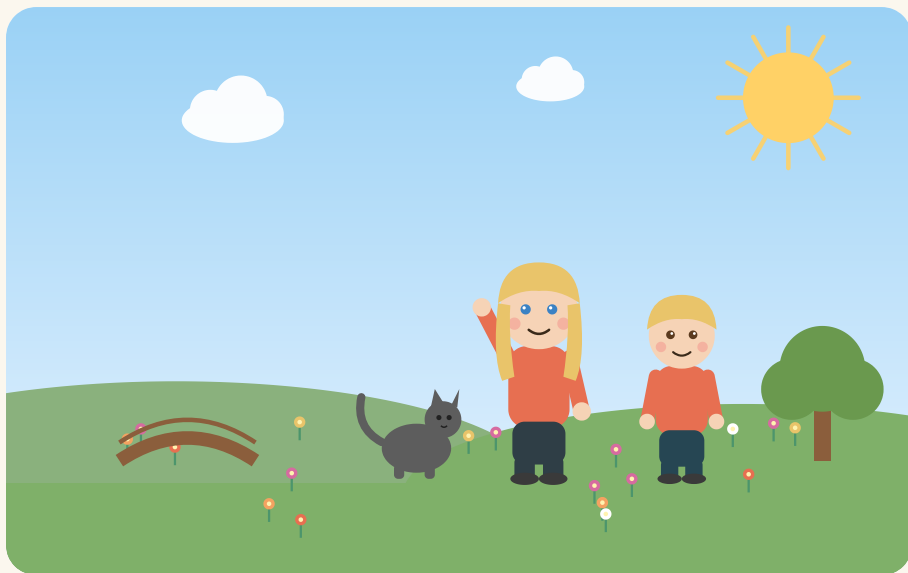
Iskra wskoczyła do latarenki i latarenka się zapaliła.

Lisek Rudek, który wcześniej mówił tylko szeptem, podał zwiniętą karteczkę. Była to mapa drogi do domu, ze ścieżkami i mostkiem.

— Sam narysowałem! — powiedział głośno, bez żadnych „...”. Wszyscy się obejrżeli, a Rudek nawet nie schował nosa w ogon.

Robot Bip wytoczył się z listą „Co zabrać w drogę”: latarenka, skarpetki, miód. A ostatnim punktem było imię — *Zosia*.

— To nie jest fakt — powiedział Bip. — To uczucie.



Lampki na jego piersi poróżnialiły.

Kłębuszek, mała chmurka, podpłynął cichutko.

— Mam dziś w sobie pogodnie, ale z lekkim smutkiem. Trzymaj. — I oddał kawałek cienia, chłodny jak druga strona poduszki. — Przyda się, kiedy wszystkiego jest za dużo: za jasno i za głośno.

Otto, wielka ośmiornica, podał śpiewającą perłę i powiedział: „Przepraszam”.

Wszyscy zamarli. Czekali na jeszcze siedem „przepraszam”, po jednym na każde ramię. A on już więcej nie przepraszał.



Po prostu się uśmiechał i nieśmiało wypuścił chmurkę atramentu, jakby się zaczerwienił.

Pszczółka Zuzu przyniosła słoiczek z etykietką „Miód na drogę do domu”.

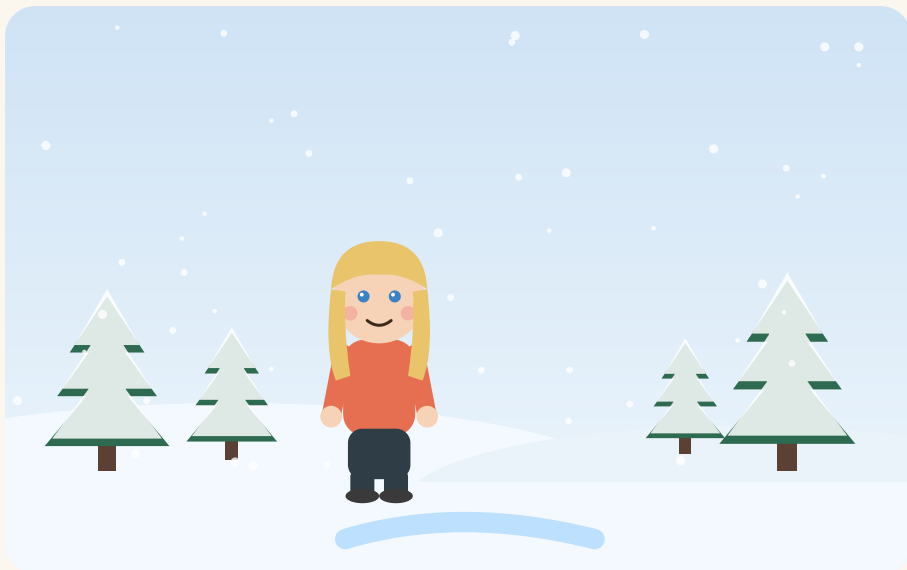
— Z-znakomicie! Wszystko zapisane!

Kot-laternik Mruczek dał knot do latarenki i powiedział najkrócej: „Mrrrr. Czas”.

Ostatnia przybiegła zajęczyca Puszyńska, najszybszy listonosz Krainy. Podała list. W liście były tylko trzy słowa: „Czekamy na ciebie”.

Zosia przycisnęła list do piżamy. Był ciepły, jakby ktoś dopiero co trzymał go w rękach.

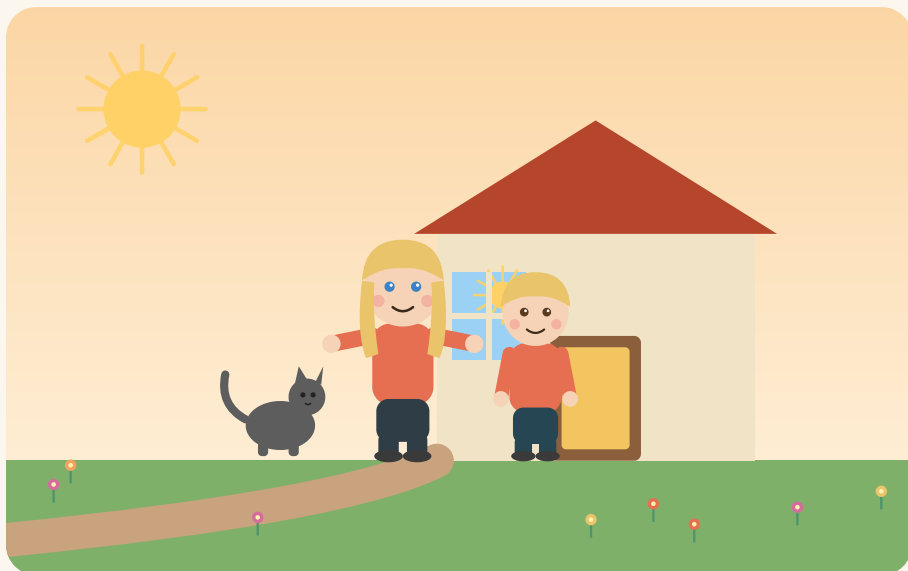
Dom jest tam, gdzie na mnie czekają.



Poszli wszyscy razem. Przez Szeleszczący Las, gdzie liście szeptały „do widzenia”. Przez łąkę, gdzie trawa jest miękka jak dywan. I do gwiazdnej rzeki, gdzie gwiazdy płynęły jak kluseczki w rosole i cichutko dzwoniły: „Bim”.

Na moście wiał wiatr. Wszyscy trzymali się razem — za łapy, za ogony i za macki. *Zosia* i Kuba — ręka w rękę, mocno.

— Raz, dwa, trzy — idę! — zaśmiała się *Zosia*. Te słowa zawsze pomagają, kiedy jest strasznie. A teraz było po prostu wesoło.



Na drugim brzegu nadleciała burza. Wiatr zawył — uuuch! — i zdmuchnął latarenkę. Zrobiło się tak ciemno, że równie dobrze można było zamknąć oczy.

I *Zosia* tak zrobiła: zamknęła je i zaczęła wspominać. Swoje łóżko i chłodną stronę poduszki. Półeczkę na parapecie, gdzie świecą małe skarby. Klucz, który nuci „mmm”. Zapach ręcznika po kąpiel.

Jak Filemon wita przy drzwiach.

Z każdym wspomnieniem latarenka świeciła jaśniej: najpierw mrugnęła, potem świeciła równo, potem jasno. I burza się poddała.

Kiedy *Zosia* otworzyła oczy, pośrodku Krainy stał dom. Jej własny dom, z jej oknem i jej firanką. Okna świeciły. Z drzwi pachniało kolacją i czymś bardzo znajomym. Na ganku paliło się światło, a przy drzwiach stali ci, którzy ją kochają. To był cud — i wcale nie dziwny.

— Uhu. To nie ty przyszedłeś do domu — powiedziała sowa Luna. — To dom przyszedł po ciebie.

Na niebie zadźwięczało: „Dzyń!” Świeci dwunasty księżyc!

A razem z nim — wszystkie dwanaście naraz, w kole, jak zegar, który pokazuje „do domu”.

Sowa Luna oddała *Zosi* klucz.

— Na zawsze. Drzwiczki otwierają się w obie strony. Zawsze to umiały. Ja też się od ciebie uczyłam.

Przyjaciele pomachali: „Do zobaczenia!” Nie „żegnaj”, tylko „do zobaczenia”.



Otto machał wszystkimi ośmioma ramionami i ani razu nie przeprosił.

Zosia obudziła się w swoim łóżku. Klucz leżał na poduszce, ciepły. Na półeczce świeciło wszystko naraz. Cała kraina przyjaciół — za jednymi małymi drzwiczkami.

Koniec



MYŚL NA DOBRANOC

Dom to ci, którzy cię kochają, w każdym
zakątku świata.

PYTANIE NA DOBRANOC

Kogo przypomniałabyś sobie, żeby znów
zapalić swoją latarenkę?





Dobranoc, *Zosiu!*



Ta książka powstała specjalnie dla Zosi